Nr. 39 (1239). Warszawa, 11 (24 Września) 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie ocsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codzień ie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

SZAN. ABONENTOM KWARTALNYM PRZYPOMINAMY TERMIN PRZEDPŁATY.

POLITYKA.

Traktat z d. 7 września.

Oznajmione już podpisanie umowy między Anglią a Tybetem i stojącemi po za nim Chinami — wytwarza dla ambicyj angielskich stan prawności, w którym cesarstwo indyjskie będzie mogło dokonywać pokojowego podboju, pod obu postaciami: cywilizacyjną i polityczną. Umowa, podpisana w Lhassie przez Younghusbanda, pułkownika-dyplomatę, i cały tłum kapłanów, przeorów, niższych i wyższych pośredników między śmiertelnikami a Buddhą, nie tykając całości terytoryum, rzeczywiście oddaje społeczeństwo tybetańskie pod monopolistyczny wyzysk Anglii i znieruchomia je we wszelkich ruchach nazewnątrz, tak w zakresie wytwórczości i spożywania ekonomicznego, jak i stosunków politycznych. Z dziesięciu jej paragrafów ani jeden nie zastrzega dla Tybetu praw samorządzenia się: wszystkie wirują około interesu angielskiego; poręczona zaś nietykalność terytoryalna jest tylko koniecznością stanu panującego obecnie między Chinami a Anglią, oraz współdziałania okazanego przez ambanów, pełnomocników syna słońca, przy układach z ofiarą chciwej przezorności angielskiej.

Folwark pozostaje jeszcze tybetańskim, ale ekonomować już na nim będzie Anglia. Wzamian za wolne wejście do Indyj dla surowic i wytworów Tybetu Anglicy, korzystający i tu z prawa wzajemności, zyskują najdoskonalszy monopol na prowadzenie przedsiebiorstw wszelkiego rodzaju, na budowanie dróg żelaznych i bitych, urządzanie telegrafów, wyrąbywanie kruszców z ziemi, korzystanie z wszelkich, jakie tylko pomyśleć się dadzą, korzyści. Niewolno Tybetowi zawrzeć żadnej z innem państwem umowy bądź ekonomicznej, bądź politycznej bez pozwolenia Anglii; niewolno utrzymywać żadnych zgoła stosunków prócz z Chinami, których prawo zwierzchnie, od dwu wieków już istniejące, Anglia, rzecz prosta, uszanować musiała. Dla kupców angielskich ma Tybet urządzić trzy wielkie targowiska: w Gyang-tse, owem zdobytem w lipcu r. b., w Kartoku i w Dżangu. Tylko kupiec, przemysłowiec i spekulant angielski będzie mógł swobodnie dzierżawić grunty, kupować i rąbać lasy, zakładać fabryki i gospodarstwa — a to wszystko bez tamujących rozwój pracy i kapitalizmu opłat i uciążliwości. Jednem słowem: Tybet dla Anglii.

Za rozbijanie kupców, niewpuszczanie towarów, nękanie wędrownych handlarzy i podróżników płaci Tybet Anglii pół miliona funtów sterlingów, a dopóki nie uiści tej sumy — dla kraju, pozbawionego zupełnie wszelkich kapitałów, z wyjątkiem skarbów w świątyniach i klasztorach, ogromnej - południowa prowincya Czumbi, przytykająca do Himalajów, będzie daną w zastaw, z tem jakoby zastrzeżeniem, że nawet w razie spłacenia zajęcie przeciągnąć się będzie mogło do lat trzech. Apostrofa, którą zaraz po podpisaniu umowy uczęstował pułkownik Younghusband Tybetańczyków, grozi im surowym odwetem za każde pogwałcenie obowiązku: każdy też taki wypadek będzie opóźniał ustąpienie z Czumbi, nawet wtedy, gdyby sprzeczna z doświadczeniem tylu wieków i ludów nadzieja pozbycia się Anglików za cenę zupełnej potulności, gdyby wiara w świętość zaciągniętego przez nich zobowiązania — nie miały się okazać mydlanemi bańkami. Czumbi, jak to już na tem miejscu przewidywano, przeobrazi Anglia w swoje pogranicze wojskowe i nie dzieląc, nie odrywając niczego, nie gwałcąc zwierzchniczego prawa Chin, pocichu a skutecznie posiądzie polityczną własność rozległej krainy tybetańskiej.

Tak się przedstawia przyszłość umowy w teoryi, która dla Rosyi przedewszystkiem cierpką być musi. Ale w praktyce cała ta zdobycz angielska może jeszcze utracić wartość rzeczywistego nabytku. Nie trzeba lekceważyć ucieczki Dalaj-lamy do Mongolii, czy też do jakiego klasztoru w samej Lhassie, ani też polegać na formalnem współdziałaniu ambanów chińskich na gruncie i Jamenu chińskiego w Pekinie. Mógł taszy-lama w Szyga-tse, podwładny dalaja, otrzymać od Chin inwestyturę; nie otrzymał jeszcze przez to rzeczywistej władzy, a ponieważ na umowie niema jego pieczęci czy podpisu, możliwem więc jest zdmuchnięcie całej roboty angielskiej, jak pałacyku z kart. „Łatwo przyszło, łatwo poszło“ — mogłoby się i w tym wypadku sprawdzić. Tybetańscy dostojnicy mogliby w zmowie z samymi ambanami oszukać czujność nieprzyjaciela, przeczekać złą chwilę, liczyć na pomoc z zewnątrz, na własne wreszcie siły, gdyby tylko tym siłom umieli i zdążyli nadać organizacyę. Rosya też nie śpi, a Turkiestan niedaleko. Kozak Dorżew towarzyszył dawniej Dalajlamie; towarzyszy mu pono od tygodnia i teraz. Anglicy już uciekają przed mrozami, a zanim zima minie, zanim nowa, o wiele większa i pracowitsza wyprawa stanie u stóp Himalajów, mogą się zmienić te zasadnicze warunki, w których uległość była

koniecznością. Tak zapewne nie rozumowałby rozum stanu, ale tak może sobie rozumować prostota natury, wyobraźnia wschodnia i dziecinna wiara w Buddhę, który przecież wyznawców swoich opuścić nie zechce. Z tej psychiki skorzystać może dyplomacya rosyjska.

Listy z Niemiec

Od pewnego czasu zbrodnie, popełniane na krajowcach w koloniach niemieckich, są znowu na porządku dziennym. Już z powodu wybuchu powstania hererów w Afryce południowo-zachodniej zwrócono w parlamencie i w prasie niezależnej uwagę na fakt, że zostało ono wywołane uciskiem, graniczącym z barbarzyństwem, i polityką ekonomiczną, dążącą do odebrania krajowcom całego ich dobytku. Wykazywano surowość urzędników niemieckich i lichwiarskie praktyki handlarzy niemieckich w koloniach. W marcu r. b. *Reichsbote*, organ pastorów niemieckich, ogłosił list ze sfer misyjnych, w którym czytaliśmy:

„Pytamy się wciąż, jak się to stało, że hererzy, którzy nigdy nie zrabowali, nigdy nie zamordowali Europejczyka, stali się odrazu tak strasznymi mordercami? Lichwa i handel rabunkowy, pozbawiły ich nietylko bydła, lecz i ziemi. Prócz tego biali dopuszczali się tu takich np. rzeczy: Przed wybuchem powstania roztrzaskał pewien żołnierz jednemu z krajowców czaszkę i traktował go, jak bydlę. Gdy się zestawi wszystkie znęcania się deskami, kijami, batami — zwykła kara, wynosiła 25 uderzeń, po których zbity leżał, jak martwy, strzelanie i zabijanie zupełnie niewinnych, nie mówiąc już o licznych karach więziennych — wtedy nie można się dziwić nienawiści krajowców do białych.

....Dlaczego ukryto w sprawie księcia Arenberga, że matka, zamordowanego przez niego, Willy Cains'a była, mówiąc po niemiecku, księżniczką, najbliższą krewną przywódców teraźniejszego powstania? Jacy hrabiowie i książęta w Niemczech, nie zemściliby się natychmiast za tak ohydne morderstwo?“

Sprawa księcia Arenberga narobiła swego czasu ogromnej wrzawy. Arenberg w okrutny sposób zamordował krajowca Cains'a. Po znęcaniu się nad związanym strzelił mu z rewolweru w głowę, potem rzucił na ziemię i prętem do przybijania broni kłuł go w otwartą ranę do chwili wyzionięcia ducha. Przed sądem dowiedziono Arenbergowi, że oćwiczył kilka kobiet w najokropniejszy sposób. Został on skazany sądem kolonialnym na dziesięć miesięcy więzienia. Następnie przewieziono go do Niemiec, i w r. 1900 skazano sądem wojennym na śmierć. Cesarz go ułaskawił, zamieniając ten wyrok na 15-letnie ciężkie więzienie, następnie na zwykłe więzienie. Po wznowieniu sprawy uznano, że Arenberg nie posiada zdrowych zmysłów i uwolniono go zupełnie. W radykalnej prasie niemieckiej postawiono wtedy następujące pytania: Sąd uznał, że Arenberg, popełniając swój okrutny czyn, nie posiadał zdrowych zmysłów. Dlaczego kwestyi tej nie zbadano na sądzie, który Arenberga skazał na śmierć? Uznano ogólnie, że rodzinom mniej zamożnym i mniej wpływowym, niż magnaci Arenbergowie, nie udałoby się dowieść niepoczytelności oskarżonego i doprowadzić do odnowienia postępowania sądowego. Drugie pytanie, zadane przedewszystkiem przez lewicę w parlamencie, brzmiało: jak można było wysyłać człowieka, który już w młodości dopuszczał się szalonych wybryków, na tak odpowiedzialne stanowisko do kolonii, gdzie był panem życia setek ludzi? Na to pytanie minister wojny odpowiedzi nie znalazł, a prasa niezależna postawiła kwestyę bardzo jasno: Ba, gdyby Arenberg nie był magnatem!

Przypominają się przytem liczne wypadki, znane z więzień i z domów karnych w Prusiech, gdzie siedzi niejeden, co nie ma zdrowych zmysłów. Ludzi takich przy najmniejszym wybryku wysyłają do ciemnicy o chlebie i wodzie, dręczą, szykanują środkami dyscyplinarnymi—zanim lekarze więzienni uznają ich za waryatów. Radca Krohne, referent spraw więziennych w ministeryum pruskiem, oblicza, że umysłowo nienormalni wynoszą 5% w więzieniach pruskich. Słynna książka Leussa wykazała i pod tym względem straszne stosunki. Z licznych publikacyj, dotyczących dręczenia więźniów-waryatów w więzieniach pruskich, na podstawie aktów więziennych, ogłoszonych niedawno przez berlińską *Zeit am Montag* i *Vorwärts* przytaczamy dziś tylko jeden przykład. Rosyjski poddany Sklarof skradł z nędzy zegarek i został zasądzony na karę więzienną. Biedak, zupełnie nienormalny, nie mógł wykonywać roboty, wyznaczonej mu w więzieniu. Dręczono go około 60 dni, trzymając w ciemnicy o chlebie i wodzie, bez łóżka, aż wykryto, że jest chory na umyśle. Ba, nie każdy jest księciem Arenbergiem.

Rząd niemiecki, skompromitowany tą sprawą starał się dowieść, że to wypadek zupełnie odosobniony. Przypomniano mu wtedy wysokiego urzędnika kolonialnego Leista, który gwałcił kobiety krajowe i kazał je potem ćwiczyć biczami w okrutny sposób. I tu powstanie krajowców było skutkiem okrucieństwa niemieckiego. Leista nie stawiono przed sądem karnym. Okrucieństwo jego pozostało bezkarnem. W dwa lata potem wykryto takie same postępowanie drugiego wysokiego urzędnika niemieckiego Wehlau, również w Kamerunie. Dla wydobycia zeznania Wehlau kazał krajowców chłostać; żołnierz krajowy, który nie przyszedł punktualnie do służby, został przykuty na 30 dni do łańcucha. Kucharza i 2 więźniów, którzy dopomogli trzeciemu do ucieczki, Wehlau kazał zamordować. Ukarano go 500 markami grzywny! Właściciel plantacyi Schroeder, został za różne okrucieństwa przeciwko krajowcom skazany przez sąd kryminalny w Wschodniej Afryce na 15 lat domu karnego, co w drugiej instancyi złagodzono na 5 lat więzienia. Słynny urzędnik kolonialny dr. Karol Peters został oskarżony przed sądem dyscyplinarnym, że w r. 1891 kazał bez powodu powiesić chłopca murzyna, w r. 1892 dziewczynę, że w październiku i listopadzie 1891 r. wywołał bez przyczyny zawikłania wojenne, że w tym samym czasie poddał trzy dziewczyny murzyńskie nieludzkiej chłoście, że w r. 1892 powiesił pewnego chłopca-murzyna za stosunek miłosny tegoż z jedną z prostytutek oficerskich. Peters został za wszystkie te zbrodnie uwolniony z urzędu; odpowiedzialności karnej i tutaj nie było.

Niemiecka polityka kolonialna jest więc zapisana krwią i krzywdą w dziejach historyi kolonialnej.

Niepowodzenie wojsk niemieckich w stłumieniu powstania w południowo-zachodniej Afryce wywołało w sferach kolonialnych nowe objawy dzikości i barbarzyństwa. Oczywiście, pierwszem hasłem było: wystrzelać co do nogi. Energiczne protesty partyi społecznej w parlamencie i w prasie mało pomogły. Zjawiły się inne hasła, jeszcze okrutniejsze. Niejaki Szlettwein, kolonista niemiecki z Afryki, wydał broszurkę, w której pisze:

„Hererów trzeba teraz naprzód wydziedziczyć, odebrać im wszelką własność, nie należy cierpieć, żeby znowu t. zw. przywódcy stanęli na ich czele. W tym celu powinno się obecne rodziny przywódców i ich dzieci, wtrącić do więzienia, gdyż lud ten musi nietylko przestać istnieć, ale należy usunąć to wszystko, co mogłoby pobudzić na nowo uczucie narodowe.

Trzeba Hererów zmusić do pracy i to do pracy bez żadnego wynagrodzenia, tylko za strawę.

Gdyby dla całego ludu nie znalazło się dość zajęcia, to należy wysłać ich jako robotników do plantacyi w naszych koloniach podzwrotnikowych lub do min. Wieloletnie roboty przymusowe są jedynie sprawiedliwą karą i jedynie racyonalną metodą wychowawczą.

Uczucie chrześciańskiej miłości bliźniego oraz działalność kierującego się nią towarzystwa misyjnego trzeba z całą energią odpierać i zwalczać.“ Cyniczniej nie można było chyba przedstawić misyi kulturalnej kapitalistycznej polityki kolonialnej!

Tymczasem w gazetach kolonialnych ujawniono znowu okrucieństwa, rzeczy wprost skandaliczne o stosunkach więziennych w Bethanien, w zachodnio-południowej kolonii niemieckiej. Pewien p. Schler pisze:

„Ostatnie sprawozdanie z okręgu Keetmanshoop notuje 63 kary więzienne przeciwko krajowcom, a tylko (!) jedną karę śmierci. W Bethanien jest jedno z większych więzień okręgu i przypuszczam, że 21 więźniów było tam zamkniętych. Zapytanie władzy, wielu z nich umarło, uważano za akt nieprzyjazny. Sprawozdanie roczne oczywiście (!) nie zawiera żadnych szczegółów, co do tego. Od 3 lat dla zmarłych więźniów istnieje osobne więzienie. W czasie ostatniego mego pobytu w Bethanien naliczyłem 33 groby. Powiedziano, że w niektórych leży po 2 trupy. Więźniowie, co zmarli na polu, byli tam pozostawieni. Wynika z tego, że w przeciągu 3 lat zaszło przynajmniej 36 wypadków śmiertelnych, czyli na rok 12; 60% więźniów ginie w tym lochu. Nie wiem, ilu umarło wkrótce po wypuszczeniu z więzienia. Gubernator nie może się uniewinniać, że stosunków tych nie znał; kilkakrotnie, z różnych stron zwracano mu na to uwagę.

Gdy w r. 1899 przedstawiłem w podaniu do gubernatora przerażającą śmiertelność w więzieniu w Bethanien, proszono mnie stanowczo, bym na przyszłość nie robił w podaniach takich uwag, z uzasadnieniem, że w Windhuk w przeciągu ½ roku z 40 więźniów umarł tylko jeden. Równie bezskuteczne było osobiste przedstawienie rzeczy. Gdyby w Niemczech taka śmiertelność zdarzyła się w jakiembądź więzieniu, dyrektor więzienia stanąłby przed sądem pod oskarżeniem zabójstwa. Tutaj inaczej!“

Z innego listu z Keetmanshoop, podnosimy następujący ustęp:

„W nocy ujrzeliśmy 10 więźniów pod dozorem 3 policyantów krajowych przechodzących około nas... Nie mogliśmy wierzyć, że śmiertelność wśród więźniów krajowych była tak olbrzymia, że trupy musiano grzebać w nocy.“

Wreszcie przypomina mi się artykuł „Hamburger Neueste Nachrichten“ z d. 16 sierpnia 1903 r., w którym pewien kolonista z Keetmanshoop pisze:

„W czasie, kiedy siedziałem niewinnie w więzieniu tutejszym, zapoznałem się z stosunkami, jakich nie widziałem jeszcze w żadnym kraju, nawet w Chinach. W małej celi umieszczono 10 wenerycznie chorych prostytutek. Stan tych celek jest taki, że większość krajowców-więźniów podobna jest raczej do kościotrupa, niż do człowieka.

Karze się u nas więzieniem dzieci 4 i 6-letnie. Krajowi policyanci szczególnie uwzięli się na nie, traktują je oni z niezwykłą nikczemnością, bijąc i znęcając się.

Jest też w więzieniu tutejszem dziewczynka może pięcioletnia, która ma dłuższą karę do odsiedzenia, ponieważ ukradła podobno trochę mleka od kozy.“

Takie są stosunki pod niemieckim rządem. O innych szczegółach z życia kolonialnego w następnym liście.

J. A.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nigdy jeszcze w tej wojnie doniesienia z obu stron nie były tak ubogie w fakta godne wiary a dające się sprawdzić na mapach zwykłego rozmiaru t. zw. mapach wojennych, dostępnych dla zwykłego Europejczyka—zarówno czy to on „politykę“ pisze, czy też ją tylko czyta—jak obecnie, w upłynionych już od ustąpienia gen. Kuropatkina z Liao-jangu i z okolic Jantaju (kopalnie Huan-pu) dwu tygodniach. Rzecz prosta, żadna ze stron samych nie mówi dokąd idzie, jak się porusza; z zetknięcia się ich dopiero dowiadujemy się o ich topografii, i to ułamkowo, dopadkowo, i względem drobnych tylko oddziałów, występujących na czołach lub skrzydłach. Korespondenci angielscy, główne dotychczas źródło nader mętnych, wikłających się z sobą wiadomości, obecnie — zagniewani na sztab japoński za ostrość w postępowaniu z nimi — dają rzadkie i skąpe doniesienia, i jedynie tylko Agencya Reutera trzyma się jeszcze na wysokości obowiązku zaspakajania ciekawości europejskiej jak największą ilością „faktów“ wojennych. „Fakta“ te wszakże nic nie dają: nie znamy ani sił obustronnych, ani ich ustawienia się, ani kierunków zachodzenia na siebie, ani zamysłów i wykrystalizowanych już planów tak jednej, jak drugiej strony. Niczego nas nie uczą urzędowe doniesienia o zaszłem spotkaniu się, gdyż daty czasu są sprzeczne, wahają się między 16 a 18 września, a daty miejsca dla zwykłego oka nieczytelne: wskazanych miejscowości niema na zwykłych mapach. Pewnemi tylko zostają nazwiska gen. Rennenkampfa i Samsonowa i jakieś starcie się na czołach.

W najważniejszej sprawie liczebności i rozstawienia sił nikt nic nie wie. Gen. Kuropatkin, mając łączność z dalekim — bardzo dalekim jeszcze — Charbinem, ma możność zasilania się stamtąd i niezawodnie z niej przez dwa ubiegłe tygodnie korzystał. O Japończykach znowu donoszono, że najpierw dwie dywizye odciągnęli od Portu Artura, a potem przez Inkau (Niu-czuang), otrzymali z kraju świeże wojska. Ta droga jest dla nich niedaleka (ok. 100 kilom. do Liao-jangu), mogli więc obyć się bez kolei i doliną zachodnią doprowadzić posiłki zarówno z Niu-czuangu, jak z pod Portu Artura, jeśli tam wydali rozkazy jeszcze podczas bitwy liaojańskiej. Dążenie ich do liczebnej przewagi nad wszystkiemi innemi górować musi; nie szczędzili też wysiłków, aby zadaniu sprostać.

Rozstawienie wojsk w zupełnej nurza się mgle. Wiemy z depesz rosyjskich, wysyłanych jeszcze d. 7 b. m., we dwa dni po ostatniej rozprawie na prawym brzegu Tai-tse-ho, zakończającej wielką bitwę laojańską, że gen. Kuropatkin z początku miał zamiar cofnąć się do Tie-linu (Te-lin-siang, Dżu-lin, ok. 60 klm. za Mukdenem); później jednak, widząc powolność Japończyków, wódz rosyjski wrócił do pierwotnego planu oparcia się w Mukdenie. Miejscowość tę, o 60 przeszło klm. od Liao-jangu, nad rz. Hun, i on sam i *Russkij Inwalid* wskazywał jako miejsce stoczenia bitwy walnej, zwycięzkiej, zdolnej dać odwet za wszystkie dotychczasowe — wypadki.

Mamy zatem najogólniej oznaczony północny kraniec nowej widowni wojennej położeniem Mukdenu, leżącego na równinie; zachodni wskazywały z początku dzienniki i agencye telegraficzne rosyjskie samem wymienieniem Hsin-min-tingu, jakoby zajętego przez gen. Kuropatkina, w właściwej już, konwencyonalnie „chińskiej,“ przez wojska rosyjskie przed wojną niezajmowanej Mandżuryi, daleko na prawym brzegu Liao-ho, o jakie 120 klm. od Mukdenu, na północo-zachód. Ale to zajęcie okazało się nieprawdziwem, a Hsin-min-ting wolnym. Trzy pozostałe krawędzie widowni są w rzeczywistości takie, jakie jej nadali Japończycy. Doskonała płaszczyzna od zachodu i południa, przy zarysie rzeki Hun, skręcającej ku Mukdenowi od południo-zachodu, pozwala przypuszczać przeprowadzenie większych sił na prawy brzeg tej rzeki dla wytworzenia rzeczywistej piersi strategicznej od zachodu. Zadaniem sił działających od południa byłoby w takim wypadku mocne usadowienie się, głównie z artyleryą, na lewym, odliaojańskim brzegu Hun-ho, działającym zaś od wschodu, powierzchnia, o jakie 15 klm. od Mukdenu, wzgórkowata, dawałaby takie samo przeznaczenie, jakie miały pod Liao-jangiem wojska Kurokiego, niewątpliwie i teraz ustawione na krańcu wschodnim nowej widowni.

W oczekiwaniu wypadków nad Hun-ho, pod Portem Artura stwierdzić potrzeba powolny, ale ustawiczny postęp działań zaczepnych. Twierdza otrzymała wprawdzie z parowca, który przez blokadę przedrzeć się zdołał, zapas mąki i amunicyi, ani jednej wszakże, ani drugiej nie ma tyle, ileby potrzebowała, aby bez trwogi patrzeć w swą przyszłość. Historya wojen zapisze to osaczenie obecne, bo nie oblężenie prawidłowe, jako jedno z największych usiłowań wojennych, a jego ostateczny wynik jako jeden z najbardziej nauczających wypadków w sztuce wojennej, która jest przecież rachunkiem nietylko ilości i sił mechanicznych, ale też i potęg żywych, złożonych w człowieku. Psychologia z obu stron wydaje objawy świetne, wielkie, podbijające wyobraźnię; ale i taktyka ma swoje prawa, wytykające granice wysiłkom. Doszło już do tego, że Japończycy mogli dwadzieścia kilka tysięcy wojska oderwać na północ, zostawiając zagadnienie główne do rozwiązania działom, zataczanym coraz bliżej, blokadzie i czasowi. Opowiadania esauła Radziwiłła, wysłanego z depeszami do gen. Kuropatkina, a przybyłego po drodze do Czyfu, przynoszą tylko szczegóły, szczególiki, drobnostki, a wśród nich i bajeczki, jakiemi się darzy rozgorączkowaną publiczność w takiem Czy-fu; nie dały odbicia prawdy, obrazu rzeczywistości, okropnością swą urągającej najsilniejszym nawet trwogom, najsroższym zmorom europejskiego filistra.

Pogłoski o pośrednictwie — te istne kaczki dziennikarskie, znowu oblatywały redakcye wielkich i jeszcze większych dzienników europejskich. Sprawa „Leny“ w San Francisco wydaje się już rozwiązaną według zwyczajów międzynarodowych: statek rozbraja się, zostaje w porcie, a załoga nie wraca do Rosyi, jak wróciła załoga „Wariaga.“ Na wodach hiszpańskich Atlantyku jakiś krążownik rosyjski zatrzymał statek angielski; kapitan, dokonawszy rewizyi papierów, miał oświadczyć zatrzymanemu, że osiem, a nawet dziewięć jeszcze innych krążowników znajduje się w pobliżu. Wskazywałoby to, że flota baltycka posunęła się już na Atlantyk, chociaż doniesienie z przed 10 dni pozwalało wierzyć w zatrzymanie się jej w Libawie. Sprawy „Askolda“ i „Grozowoja“ w Szang haju, „Diany“ w Saigonie dotychczas są w zawieszeniu. „Terek“ krąży w okolicy Vigo, a „Petersburg“ i „Smoleńsk“ po otrzymaniu rozkazów z pokładu „Forthu“ zniknęły w kierunku południowym. Treść rozkazów zatem mogła nie mieć związku z powrotem do Europy.

Król serbski ukoronował się d. 21 b. m. z ostrożnościami policyjnemi, a bez godnego aktów koronacyjnych orszaku: król angielski nawet przedstawiciela nie przysłał.

W Niemczech aż wielka rada ministrów radzi nad szkodliwością Polaków i smaży zapowiedziane prawa. — Zmarł d. 18 b. m. syn kanclerski pierworodny, Herbert Bismarck.

W Austryi sejmy krajowe, od 19 b. m. już zagajane, do 9 października mają sobie wytknięty czas na zbieranie się. W Opawie Niemcy pierwszego dnia już sejm zerwać usiłowali.

Ks. Jerzy, nie wskórawszy nic w Wiedniu, zawitał do Petersburga. Kreteńczycy myślą o oporze.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Pierwsze banki w Korei założyli Japończycy, następnie w 1897 roku otworzył w Czemulpu filię „Hongkong and Shanghai Banking Corporation“, potem „Bank rosyjsko-korejski,“ który przetrwał zaledwie trzy miesiące, i dwa banki korejskie „Czion-sion“ i „Chan-sion“, które wydawały pożyczki na zastaw towarów po 12—24% [1]) rocznie. Banki te, założone przy współudziale doradcy ministeryalnego K. Aleksiejewa, podtrzymywane przez rząd i wpływy wrogie Japończykom oraz innym „cudzoziemcom“, były raczej instytucyami politycznemi, niż finansowemi i mocno zadłużone u skarbu wlokły nędzny, niecikawy żywot. Gdym był w Seulu pokazywano mi placyk, na którym miał niby stanąć przyszły „Bank narodowy,“ ale nic tam jeszcze nie było prócz kupy kamieni. Przypuszczam, że suma przeznaczona na jego budowę została dawno wyasygnowana, ale rzecz wątpliwa, aby mógł powstać bez gruntownej zmiany stosunków państwowych.

Kredyt tubylczy odpowiada zupełnie całokształtowi życia gospodarczego w Korei, jest więc przedewszystkiem drobnym i miejscowym. Wszędzie istnieją liczne towarzystwa oszczędnościowo-pożyczkowe (kie). Pewna ilość osób składa razem pieniądze, które wypożycza sąsiadom na 10 miesięcy, ze spłatą co miesiąc 1/10 części długu z doliczeniem należnych procentów. Stopa procentowa ogromnie wysoka; dla najpewniejszych dłużników sięga 20%, zwykle zaś przenosi 50% [2]) i dochodzi nawet 100%. Chrześcianie, którzy postanowili pod wpływem misyonarzy brać tylko 20%, wywołują powszechne zdziwienie, gdyż według krajowców „darmo dają pieniądze“ [3]). Pieniądze w Korei skoro są potrzebne, są *bardzo* potrzebne, ale potrzeby takie wydarzają się stosunkowo rzadko. Wieśniacy do niedawna wybornie obchodzili się bez nich, i zaledwie ostatnimi czasy, z zamianą wypłaty podatków produktami na pieniądze, zwiększył się ogólny obieg monety.

Handel w Korei był zawsze zamienny, moneta grała rolę dodatku, ułatwiającego zrównoważenie rozmaitych wartości oraz narzędzi wymiany dla ilości ułamkowych lub bardzo drobnych doskonale zastosowanych do małego rynku handlowego i jego potrzeb; była towarem zawsze cennym, gdyż łatwo dającym się przerobić na przedmioty użyteczne (naczynia mosiężne), miała drobny podział (1/4 kop.) i wielką stosunkowo wagę (712 gramów za 1 rubla). Srebrne i złote sztabki były w Korei znacznie mniej w użyciu, niż w Chinach i Japonii. Rząd przy swych zakupach i wypłatach posiłkował się głównie ryżem, perkalem i papierem, któremi też pobierał podatki.

Zupełny brak urządzeń kredytowych nie dowodzi bynajmniej umysłowej niższości Korejczyków, poprostu nie były im potrzebne, owszem, gdy zachodziła tego istotna konieczność, zdobywali się oni na bardzo

[1]) Banki japońskie pobierają od drobnych handlarzy od 10 do 18%, wogóle stopa procentowa na Wschodzie jest dość wysoka. Japońskie banki starają się wzorować na angielskich. Za przechowanie towarów, przybyłych z Japonii, banki pobierają 3% miesięcznie.

[2]) Korean Repository. 1895, p. 47.

[3]) M. A. Pogio „Korea“, tłomaczenie niemieckie, str. 233.

sprytne pomysły. Stowarzyszenie tutejszych oberżystów od bardzo dawna np. uprawia rodzaj przekazów, bardzo dogodnych dla podróżnych: zapłaciwszy na początku jednemu z nich pewną kwotę, można następnie za okazaniem kwitu korzystać całą drogę nietylko z noclegu, ale nawet brać gotówkę w zakresie wypłaconej sumy.

We wsiach i miasteczkach korejskich uderza podróżnika wielka ilość sklepików; są to zawsze, jak dwie krople wody do siebie podobne, liche kramy, gdzie można dostać wszystkiego: tytoniu, fajeczek, sandałów słomianych, trochę tanich tkanin, rozmaitych drobiazgów — szpilek, grzebyków, lusterek, gwoździ, prócz tego stoi tam w workach, ryż groch, bób, proso, wiszą strączki pieprzu tureckiego, leżą owoce — „koki“, gruszki, słodkie kasztany, orzechy itd. Można tam dostać świeżej i suszonej ryby, kapusty morskiej, soli, farb, narzędzi żelaznych... Ale wszystko znajduje się w bardzo niedużej ilości, stąd pewnie pochodzi znaczna ilość sklepów, gdyż korejskie prawo handlowe nikomu nie zabrania zakładania takich małych, mieszanych kramików, gdy wielkie sklepy hurtowne wolno otwierać tylko członkom odpowiednich stowarzyszeń kupieckich. Stowarzyszenia te, podobne do europejskich cechów średniowiecznych, powstały prawdopodobnie wcelu wzajemnej obrony członków od wyzysku i gwałtów, jakich dopuszczali się zawsze jań-baniowie oraz urzędnicy względem warstw podrzędniejszych. Cieszą się one po dziś dzień wielkim wpływem i powagą. Każda gałąź handlu zajmuje zwykle w większych miastach osobne targowisko, gdzie ma rzędy sklepowe, często nakryte wspólnym dachem, otoczone murem i zawierane na noc ciężkiemi wrotami. Kupcy najmują do współki obsługę i stróżów nocnych. Podział przedmiotów handlu jest przeprowadzony bardzo skrupulatnie; bławatnicy białych perkalów tworzą np. stowarzyszenie odzielne od bławatników perkalów kolorowych, oddzielnie stowarzyszeni są kupcy jedwabiów gładkich, oddzielnie wzorzystych, oddzielnie hurtownicy muślinów, używanych na odzież letnią, oddzielnie kupcy gotowego ubrania, kupcy obuwia—oddzielnie od handlujących słomianymi sandałami itd. Kto chce połączyć kilka handlów musi należeć do kilku towarzystw.

Na czele każdego stowarzyszenia stoi naczelnik obieralny „jŏn-uj“, który prowadzi jego interesy, usuwa wynikające trudności, załatwia sprawy z rządem, zawiaduje kasą oraz sądzi osobiści drobniejsze zatargi między stowarzyszeniami, a ważniejsze rozbiera przy współudziale swych pomocników oraz urzędnika wyznaczonego przez departament przemysłu i handlu; dawniej, przed reformą wszystkim stowarzyszeniom handlowym półwyspu przewodniczył osobny, naznaczony przez rząd dygnitarz „pań-sa“. Stowarzyszenia w czynnościach swych wzorują się na chińskich gildyach kupieckich, naznaczają ceny na przedmioty swego handlu, poniżej sprzedawać nikomu nie wolno i układają się zbiorowo z innemi stowarzyszeniami. Główne zarządy większości stowarzyszeń mieszczą się w Seulu. Płacą one rządowi podatek za wszystkich swych członków, za to mają prawo konfiskowania towarów kupcom, którzy samowolnie otworzyli większe sklepy, nie zapisawszy się do odpowiedniego stowarzyszenia. Aby zostać członkiem, potrzeba uzyskać na to przyzwolenie naczelnika stowarzyszonych oraz zapłacić jednorazowo 20 dolarów wpisowego. Naczelnik wydaje naówczas patent na członka, pozwalający kupczyć określonym towarem w całym kraju. Bez takiego pozwolenia wolno handlować każdemu wszelkiemi towarami we wszelkich ilościach jedynie w ciągu 10 dni w roku — od 25 grudnia do 5 stycznia (według kalendarza korejskiego), po tem wolno otwierać tylko kramy, dla których towary trzeba nabywać u hurtowników stowarzyszonych; więc inni kupcy są właściwie ich drobnymi agentami.

Podobną rolę względem hurtowników odgrywają i „pu-sań“ — wędrowni przekupnie. Ale ci sami są zorganizowani w potężne i szeroko rozgałęzione stowarzyszenie (pu-sań-choe). Poznać ich łatwo po wielkich kapeluszach-cylindrach z cieniutkich, nieczernionych włókienek bambusu. Tworzą oni jakby odrębną kastę, mówiącą odrębnym językiem i rządzącą się własnemi prawami. W razie niezgody lub pokrzywdzenia nie zwracają się nigdy do sędziów krajowych, lecz sami sobie wymierzają sprawiedliwość. Za ciężkie przewinienia główny ich naczelnik ma nawet prawo ukarać swych podwładnych śmiercią. Słyną z uczciwości kupieckiej, wzorowej dyscypliny i wielkiej solidarności. Nikt nie śmie skrzywdzić „pu-sania,“ albo niezapłacić mu długu, ponieważ wie, że to mu nie ujdzie bezkarnie. Jedynie dzięki temu mogą „pu-sanie“ przenikać ze swymi towarami do najgłuchszych zakątków Korei przez miejscowości puste lub oblegane przez rabusiów. Są rośli, silni i zręczni. Zwykle chodzą parami lub małemi towarzystwami, zdążając z jarmarku na jarmark. Widziałem też wędrowne rodziny „pu-saniów.“ Na przodzie szedł zwykle mężczyzna ze skrzynią na plecach, za nim wlokła się kobieta, wiodąc dziecko za rękę lub niosąc je na plecach, prócz tego miała niezbędnie węzeł z rzeczami na głowie. Nie należy mieszać „*po*-saniów“ (tragarzy) z „*pu*-saniami“ (kramarzami). Nic mają oni z sobą nic wspólnego *). Pierwsi są to biedni wyrobnicy, nieposiadający zazwyczaj nic prócz lichych noszy drewnianych. Drudzy cieszą się stosunkowym dobrobytem i wielkim wpływem; urzędnicy miejscowi liczą się z nimi; ich naczelnik, „toban-su,“ jest dygnitarzem i znaczną osobą w Seulu; rząd nieraz zwraca się do nich w potrzebie, gdy mu brak wojska, albo należy przygotować drogi dla podróży cesarskiej, dla przejazdu jakiego znakomitego cudzoziemca lub trzeba ująć jakiego ważnego przestępcę. „Pu-saniowie“ uchodzą za gorących patryotów, duszą i ciałem oddanych panującej dynastyi i nienawidzących cudzoziemców. Organizacya ich powstała prawdopodobnie bardzo dawno i musiała pozostawać w związku z rozpowszechnieniem w kraju bawełny i tkanin bawełnianych. Na uroczystościach, zebraniach, pochodach „pu-sanie“ zatykają za kapelusze, jako znak szczególny, kawałki białej waty. Jeżeli domysł ten ma słuszność, toby należało przypuszczać, że organizacya „pu-saniów“ szła z południa, z Cziolla—gniazda kupiectwa korejskiego, skąd rozpowszechniła się wraz z bawełną, wypierając zwolna skóry oraz tkaniny pokrzywne i konopne, co dzieje się i teraz w północnej Korei za pośrednictwem tych samych „pu-saniów.“

Po dziś dzień więc cały handel wewnętrzny pozostaje w rękach hurtowników i przekupniów wędrownych. Są to organizacye tak silne i doskonałe, tak dobrze przystosowane do warunków produkcyi miejscowej, komunikacyi i obyczajów, że ciężką walkę będzie miał z nimi do przebycia nowy handel europejski, wdzierający się do półwyspu przez zdobyte dlań w 1876 r. przez Japończyków porty otwarte. Ma on wprawdzie silny oręż w taniości, dobroci i wyborze swych towarów, ma popleczników w rodzących się potrzebach i reformach życia, lecz reformom, o ironio, stawia przeszkody dyplomacya *europejska* a taniość nie może zwalczyć braku gościńców i obrzydliwej, drogiej komunikacyi, która zwiększa ceny tak dalece, że stopa korejska (pół metra) szarego shirtingu, kosztująca w Genzanie 40 do 45 phun (8—9 kop.), sprzedaje się w Hym-hanie około 50 phun, w Puk-cziönie od 55 do 60, a w Kap-sanie (o 300 kilom od Genzanu) kosztuje już 70 do 75 phun, tj. wzrasta o 70% *). Z Genzanu do Seulu (500 „i“ — 250 kilom.) zapłaciłem za każdego konia 70 jan, co wyniesie prawie 8 kop. za kilometr. Najmowałem konie wprawdzie w szczególnych warunkach, przed wojną, w czasie bardzo naprężonych stosunków, więc kosztowały drogo, lecz powiedziano mi, że cena najniższa jest zaledwie dwa razy mniejsza, że dość trudno dostać konia z przewodnikiem za 50 jan. Alftan podaje, że pud (16,6 kilogr.) — wiorsta (1 kilometr) kosztuje najmniej *kopiejkę*. J. B. Bishop wzmiankuje, że utrzymanie konia wynosiło w dni podróży 1 dolar z głowy i pół dol. w dni wypoczynku. Najniższe ceny wymienia Hesse-Wartegg — ⅓ albo ⅓ kop. od puda-wiorsty w razie, gdy konie były najęte nie dziennie, lecz dla dostawy określonego towaru na odległość określoną, przyczem połowa zapłaty uiszcza ła się z góry. Wyznaję, że nie słyszałem o tak nizkich frachtach w Korei i przypuszczam, że najprawdopodobniejszym jest podadany przez Łubieńcowa — 2½ do 5 kop. od wiorsty i juki (83 kilogr.) **). Tragarze biorą o połowę mniej, ale poruszają się pięćkroć razy wolniej. Przewóz towarów na wołach zabiera dwa, do trzech razy tyle czasu, co końmi.

Pomimo to towary zagraniczne przesiąkają zwolna nawet w głąb kraju, wywołując ogromne zmiany w gospodarce miejscowej, stwarzając nowe pola pracy dla znękanego wieśniactwa, budząc umarłe w niem już nadzieje i potrzeby. I znowu, jako pionierzy i przewodnicy na tych nowych drogach, zjawiają się Japończycy, których korzyści handlowe szczęśliwie złączyła historya z duchowem i materyalnem odrodzeniem Korejczyków. Ogromnie są ciekawe sposoby, jakich użyli oni dla otworzenia rynku korejskiego i zawładnięcia nim.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Garść szczegółów o Paranie.

W życiu naszem społecznem wiele jest kwestyi, na które zamykamy stale oczy. Niechęć i niemoc do porządnego budowania, do akcyi systematycznej sprawia, że przy pojawieniu się jakiegoś zagadnienia szukamy pomocy w sentymentalnej deklamacyi i odurzamy się frazesami. Do tych ważnych a zapoznanych zjawisk życia naszego społecznego należy sprawa wychodźstwa. W swoim czasie sporo się o niej pisało, lecz prawie wszystko, co było powiedziane, nie wyszło po za krańce zwykłego naszego — szczerze polskiego gawędziarstwa. Życie idzie swoim torem, rodzi wciąż nowe komplikacye, a my postękujemy i tyle.

W tych dniach do rąk moich dostały się

---

*) Twierdzenie W. Wilkinsona („The Corean Goverment,“ str. 33), że tragarze i kramarze należą do jednego stowarzyszenia, jest bezwarunkowo mylnem; przeczyli stanowczo temu wszyscy pytani przezemnie Korejczycy.

*) Campbell Charles: Proc. R.G. Soc. XIV, 1892, str. 147, cytowane według „Opisania Korei,“ cz. II, str. 212.

**) A. G. Łubiencow: „Hamkensa i Phiönjanska prowincye Korei“ Zapiski Amurskiego Oddziału Ces. Ros. Tow. Geogr. Tom II, str. 45, r. 1897.

ciekawe dokumenty o położeniu naszych wychodźców w Paranie. Są to listy i notatki jednego, młodego „zapaleńca", który w szczerej chęci służenia sprawie publicznej pojechał do południowej Brazylii, aby tam poznać tych ludzi i „budzić — jak pisze — myśl. Człowiek ten jasno pojmuje sprawę, której się poświęcił i trzeźwo rozumie położenie. Z jego słów postaram się ułożyć czytelnikowi obraz stosunków, w jakich żyją tam nasi wychodźcy.

„Parana ma 300 tysięcy ludności, a obszar dwa razy większy, niż Królestwo Polskie", oprócz Parany Polacy osiedlają się w sąsiednich stanach Rio Grande-do sol i Santa Catharina. „Powietrze w tych stanach bardzo jest zdrowe, klimat ciepły i bardzo łagodny." Krajobraz ładny, ziemia nadzwyczaj urodajna. Dawniejsze kolonie grupują się koło Kurytyby, późniejsze nieco dalej. Brazylianie, to ludzie bez kultury, a raczej z kulturą, jaką wynieśli przed kilkoma wiekami z Portugalii; nie mają z czego żyć, bo pracować nie umieją, więc się zadłużają i ziemię sprzedają. Rząd brazyliski daje kilkoletni termin wypłaty i sprzedaje ziemię po niesłychanie nizkich cenach. Na kolonii Serro Azul np. są działy po 45 do 50 morgów; za każdy mórg płaci się od $4\frac{1}{2}$ do 10 milrejsów (1 milrejs = 50 kop.) zależnie od rodzaju ziemi. Termin wypłaty sześcioletni." Na innej (Antonio Olinto) dział 45 morgowy kosztuje najdrożej 400 milr.

Grunt, który otrzymuje kolonista, stanowią lasy lub stepy. Polacy najchętniej i najliczniej osiedlają się na ziemiach lesistych. „Uprawa ziemi odbywa się w sposób bardzo pierwotny. Las brazylijski nie ma takiej masy grubych drzew, jak las europejski. Drzewa-olbrzymy rosną rozrzucone stosunkowo rzadko, zostawia się je nietkniętemi; między niemi bardzo gęsto krzewi się drzewina względnie cienka; tę rąbie się fojsą, tj. wązkim tasakiem, na końcu trochę zakrzywionym i osadzonym na długim trzonku, zaś grubsze z nich siekierą. Zrąbany las po przeschnięciu podpala się; później pomiędzy napół poprzepalanemi drzewami sadzi się kukurydzę i czarną fasolę... Robotnik długim, zaostrzonym kijem robi dziury w ziemi i rzuca w nie ziarno. Gdy kukurydza wzejdzie, w podobny sposób sadzi czarną fasolę. „I nic więcej." „W następnym roku polski kolonista przycina fojsą młode pędy drzew, które następnie wraz z suchem zielskiem podpala. Na spalenisku tem sieje jare żyto lub jakie inne ziarno i przykopuje z lekka motyką. Po zebraniu żyta w tym samym roku sadzi kartofle albo pataty"... „Po wielokrotnem zrąbaniu lub spaleniu korzenie i pniaki drzew tak butwieją, że można już użyć pługa, lecz kolonista niechętnie bierze się do tego narzędzia, gdyż uprawa pługiem potrzebuje większego nakładu czasu i pracy, aniżeli fojsowanie i palenie." Niechętnie też kolonista polski osiada na kampach czyli stepach, gdzie już trzeba gospodarować na sposób europejski tj. orać i nawozić.

Autor tych notatek stanowczo przeczy wszelkim twierdzeniom, jakoby emigranci nasi cierpieli nędzę i głód. Naturalnie w pierwszych chwilach po przybyciu trzeba ciężko pracować, lecz wkrótce potem koloniści osiągają dobrobyt. „Mówił mi jeden z polskich kolonistów: — W Paranie chłop je lepiej co dnia, niż w Polsce jadał w Wielką Niedzielę. —„Koloniści, którzy przyszli do Paramy przed 8 laty bez grosza pieniędzy obecnie są właścicielami pięknych kolonij." Niektórzy zdawniejszych są już dość znacznymi kapitalistami: mają po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt tysięcy milrejsów gotówki. „Gdziem tylko zaszedł, widziałem zadowolenie i pewność siebie, jaką daje sytość. Wszędzie witano mię uprzejmie, lecz bez poniżania się i płaszczenia."

Dobrobyt materyalny nie idzie tu jednak w parze z podniesiem poziomu kulturalnego. Ludność polska w Paranie to prawie wyłącznie chłopi, którzy z swego rodzinnego kraju wynieśli tylko nędzę i ciemnotę. „Kolonista polski nie czuje potrzeby nauki. Kurytyba liczy parę tysięcy Polaków, a ma zaledwie jedną szkołę i to nienormalnie funkcyonującą. Jeżeli jakiś pan umiejący czytać i pisać niema zajęcia, to ogłasza się, jako nauczyciel i każe sobie płacić po 2 milrejsy od dziecka." Koloniści nie są skorzy do wydawania pieniędzy na naukę dzieci i nie posyłają ich do szkół płatnych. I „szkoła po paru miesiącach się zamyka." Jedyną osobą z poświęceniem pracującą dla oświaty ludu jest pani Janina Krakowowa, która pomimo wielolicznych przeszkód (między którymi sporo miejsca zajmują intrygi różnych luminarzy) prowadzi szkołę i umie zjednać sobie młodzież.

Wogóle tak zwana inteligencya przedstawia się bardzo niesympatycznie. „Składa się ona z księży i kilku panów świeckich. Większość z nich przyjechała szukać w Paranie złotego runa, lecz znaleźli je tylko pierwsi na swych owieczkach." Tak zwani „opiekunowie ludu" wyrządzają niepowetowaną szkodę polskiemu koloniście, działając na jego namiętności i schlebiając najniższym instynktom, by tylko mieć wpływ na ciemne masy. O żadnej pracy systemasycznej i kulturalnej mowy tu niema, ale zato deklamacyj, różnych obchodów mamy aż nadto. Ludzie zbierają się na uroczystości narodowe tylko dlatego, aby przy tej sposobności doskonale się wytańczyć, podpić sobie, a czasami i pobić się. Mamy w całej Paranie, a szczególniej w Kurytubie, dużo polskich towarzystw, które nietylko nie wywierają na ludność wpływu d datniego, ale w wielu wypadkach ujemny. Inteligencya to oszuści świeccy i gorsi od nich księża, których ideałem jest obdzieranie i ogłupianie kolonisty". Księża należą tam podobno do jednostek najniżej stojących pod względem etycznym, nie cofają się oni przed niczem, co może zysk im przynieść.

Zarówno z wyżej wymienionych szczegółów, jak z innych źródeł można wyciągnąć następujące wnioski. Wychodźstwo jest zjawiskiem naturalnem; wychodźcy przechodzą wielką nędzę podczas przeprawy; niezaradni są przytem i ciemni, co im utrudnia zainstalowanie się na miejscu; wychodźcy zamiast się skupiać, rozpierzchają się w różne strony. Otóż, autor wyżej przytoczonych spostrzeżeń widzi konieczność założenia, na wzór Włochów i Niemców, Towarzystwa kolonizacyjnego, któreby nabywało większe obszary i osadzało kolonistów opiekowałoby się emigrantami, chroniło ich od różnych szykan i systematycznie kierowało wychodźstwem. Przy tej sposobności sarka on na niedołęztwo lwowskich przyjaciół i niby-przewodników wychodźców, którzy udającym się do nich po wskazówki nietylko nie objaśnić nie umieją, ale sami proszą o objaśnienia. „Ogłosili się za przewodników narodu, a nie są zdolni wyczuć jego potrzeb"— powiada z oburzeniem. Istotnie, sprawy wychodźstwa nie da się rozwiązać pięknie zaokrąglonym frazesem, jedną lub dwoma przejażdżkami do Parany, wymaga ona ludzi tęgiej głowy, wielkiej pracy i dużego charakteru.

br.

Sztuka w szkole.

W ubiegłym miesiącu miała miejsce w Paryżu mała, co do rozmiarów, ale interesująca i ważna dla wychowawców wystawa, urządzona w celu wykazania, co robiono dotychczas dla rozwinięcia w dzieciach poczucia piękna i co wydaje się w tym względzie każdemu w praktyce możliwem. Inicyatywę wystawy dało Stowarzyszenie pracy pedagogicznej, które też zajmowało się zwołaniem kongresu sztuki w szkole, tym sposobem kongres i wystawa wzajemnie się uzupełniały.

W skład komitetu wystawowego weszli nauczyciele szkół elementarnych i średnich, oraz krytycy artystyczni, jak Poger Marx, Monrey, Vitry i inni. Komitet ów po długich i ożywionych dyskusyach postanowił nie przyjmować żadnego przedmiotu, któryby nie odpowiadał ściśle celowi wystawy, więc odrzucono wszelkie tablice poglądowe, służące do nauki o rzeczach lub do nauk przyrodniczych — któremi obficie obesłali wystawę wydawcy—jako też różne t. z. „bons points," czyli obrazki, rozdawane w szkole codziennie dla nagrody i zachęty. W ten sposób zredukowana wystawa nie przedstawiała zwykłej chaotyczności i nie stanowiła popisu handlarsko-przemysłowego a odpowiadała istotnie swemu zadaniu. Podzielono ją na trzy sekcye: retrospekcyjną, współczesną i projekty.

W dziale pierwszym oglądać można było książki ilustrowane z XVIII w., służące już to do nauki, już to do rozrywki dziatwy i młodzieży szkolnej. Wszystkie te okazy, jakkolwiek są pomiędzy nimi i wydawnictwa na owe czasy zbytkowne, mają cechę wspólną: zaniedbanie strony artystycznej i ubieganie się niejako o fantazyę ze szkodą prawdy i prostoty. Wynikało to oczywiście z zapatrywania, że jak dla ludu, tak i dla dzieci musi być specyalna literatura, a tembardziej sztuka. Mniemanie to, niestety, przechowało się dotychczas pomiędzy wydawcami o ciasnych poglądach a silnem pragnieniu zbogacenia się. I tak jak istnieje jeszcze literatura ludowa, której lud nie czyta, a jeśli czyta, to z wielką dla siebie szkodą i stratą czasu, tak również mamy nadmiar wydawnictw, należących do literatury dziecinnej, które wypadałoby użyć pod placki i babki wielkanocne. Na nieszczęście jednak względy handlowe biorą zawsze górę, a wydawcy, występując *pro domo sua*, reklamują książki, których jedyną wartość stanowi okładka oraz obrazki nędznie wykonane i myśl niedorzecznie wyrażające. Towar ten w porze gwiazdkowej i na końcu roku szkolnego znajduje licznych nabywców, którzy wyobrażając sobie, że dziecku to się tylko podoba, co jaskrawe lub złocone, zakupują skwapliwie owe wydawnictwa jarmarczne. Będzie to więc zasługą wystawy, jeśli przyczyni się choć trochę do rozpowszechnienia myśli zasadniczej, że niema dwóch postaci sztuki— jednej przez małe *s* dla dzieci i młodzieży, a drugiej, przez wielkie *S*, dla dorosłych; że obowiązkiem naszym jest wyrabiać w dziecku zamiłowanie piękna, a odwracać od jego oczu to wszystko, co jest brzydkie lub co daje fałszywe pojęcie o prawdzie w pięknie. Należy jedynie zastosować obrazy do wieku i pojęć dziecka, poczynając od widoków natury, scen wziętych z życia codziennego, stopniowo przechodząc do zjawisk bardziej złożonych, mniej znanych. W tym też duchu zredagowaną była jedna z decyzyj kongresu.

Ornamentacya ścian szkolnych była przedmiotem bardzo gorących sporów, jedni wyrażali życzenie, aby zarówno w klasach, jak salach rekreacyjnych była obfitość tablic poglądowych, map i obrazów, drudzy powstawali na to, twierdząc, że dzieci tak się z owymi obrazami oswajają, że gdy nauczyciel posługuje się nimi do lekcyj, niczyjej już one ciekawości nie wzbudzają, żądali przeto, aby ściany były nagie, a tablice lub obrazy pokazywane dzieciom tylko w czasie lekcyi. Ponieważ jednak kongres składał się przeważnie z miłośników sztuki, przeto wzięło górę trzecie zapatrywanie, że ściany szkolne

powinny być zawieszone dziełami sztuki, nadającemi im wygląd przyjemny, wesoły. Ci znów byli przeciwni tak ścianom nagim, jak zawieszonym od góry do dołu tem wszystkiem, co dziecku przypomina, że jest ono w uczelni. Występowali również przeciw obrazom, wprowadzonym od niedawna, a przedstawiającym skutki alkoholizmu, uważając, że dostatecznem byłoby pokazać je przy wykładzie, nie wystawiając codziennie na oczy dziatwie rzeczy tak przeciwnych kulturze estetycznej, a nawet moralnej.

Jakąż więc powinna być ornamentyka sal szkolnych? Otóż twierdzili oni, że pierwszym warunkiem jest, aby klasa była obszerna i dobrze oświetlona, a drugim—aby dziecko ze swego miejsca mogło obraz widzieć. Ten ostatni zatem powinien być nietylko dużych rozmiarów, ale dostatecznie wyraźny, aby z oddali kontury przedmiotów występowały silnie, a barwy użyte były wstrzemięźliwie. Tego właśnie dotychczas wydawcy nie rozumieją, robią tablice wielkie, o rysunku drobiazgowym, który trzeba oglądać zblizka. Warunkom tym odpowiadają najwięcej tablice H. Rivière; są to krajobrazy, wykonane z ogromną prostotą, dalej cztery tablice Moreau-Nélaton, przedstawiające las, bydło, zboże i wino, cztery kompozycye panny Dufau, wyrażające zasady moralne (pomagajmy sobie wzajemnie, kochajcie rodziców, odwaga więcej znaczy, niż siła, niema żniwa bez pracy), cztery pory roku pomysłu Fr. Régamey, a wreszcie cała serya tablic, wykonanych pod kierunkiem G. Moreau, nazwanych przez niego „obrazami intuicyjnymi.“ Z tej seryi oglądać można było na wystawie pięć gotowych, reszta nie jest jeszcze wykonaną. Mają one na celu nie zapełnienie umysłu wiadomościami, ale pobudzenie do myślenia i porządkowania pojęć, oraz wyrobienie smaku artystycznego. Synoptyczne zgrupowanie zasadniczych elementów ułatwia dziecku proces myślowy, nasuwając mu porównania i przykłady, a zachowanie harmonii kształtów i barw rozwija w nim poczucie piękna. Myślą przewodnią tej seryi tablic jest: człowiek (tablica I) przy pomocy pięciu zmysłów (II) poznaje nieskończony świat kształtów (III) i barw (IV i V); tworzy różne rodzaje mowy (VI, VII i VIII); a posiadając te cenne narzędzia badania i wyrażania, zgłębia naturę (IX), odkrywa jej tajniki, stwarza naukę i sztukę (X).

Pochlebną również ocenę członków kongresu pozyskały obrazy geograficzne Hugona d'Alesi, jakkolwiek traktowane afiszowo, jednak pouczające i dające dobrą charakterystykę przedstawionych krajów. Dotychczas istnieją 2 serye po 7 obrazów (Bretania, Prowancya, Wogezy, Pireneje, Algier, Tunis itp.). Autor zachęcony przez dyrektora nauczania elementarnego Bayet'a, pracuje obecnie nad nową seryą, która będzie o wiele lepszą pod względem pedagogicznym,— będą to obrazy przyrody w różnych strefach.

Jeśli jeśli jednak dla ornamentyki sal szkolnych uznano za pożądane wszystkie powyższe tablice z tej racyi, że one przyczynić się mogą do rozwinięcia w dziecku zdolności obserwacyjnych i uczucia, to za niemniej ważne poczytywano, kształcenie artystyczne, przez zapoznawanie dzieci z arcydziełami sztuki — zarówno starożytnej jak nowoczesnej — przy pomocy reprodukcyj fotograficznych. Jak wiadomo, wszelkie próby reprodukcyj kolorowych są nieudatne, fotografia spełnia to zadanie o wiele lepiej; w istocie wspaniałe są dziś reprodukcye obrazów i rzeźb, wydawane przez Bullaz'a Hachette'a, Collin'a i Larousse'a, służyć one mogą do upiększenia lokalów szkolnych, jak również do wykładu historyi sztuki.

Wreszcie zaznaczyć należy, że w dziale projektów były jeszcze ładne, lecz trudne do urzeczywistnienia pomysły malowania różnych scen z życia dziecinnego wprost na ścianach szkolnych; dalej rozmaite obrazki na okładkach kajetów, wyobrażające sceny historyczne, widoki krajów, portrety sławnych ludzi, zasady moralne itp., Karty pocztowe ilustrowane dla dzieci i bons points (obrazki dawane w klasie jako nagrody).

Wogóle zauważyć musimy, że sprawa kultury artystycznej w wychowaniu zaczyna nabierać wielkiego znaczenia, że poglądy na nią pedagogów ogromnie się zmieniły w ciągu ostatnich lat dziesięciu. Dowodem coraz szerszego zainteresowania się tą sprawą jest założenie przed kilku miesiącami przy stowarzyszeniu „L'Art pour tous“ sekcyi dziecinnej, która zamierza urządzać wyłącznie dla dzieci wycieczki artystyczne i zabawy, mające na celu rozbudzenie zmysłu estetycznego za pomocą zrozumiałych dla dziatwy dzieł dłuta, pędzla, muzyki i poezyi.

Iza Zielińska.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Cywilizacya a kultura.

Pewien jeden z badaczów angielskich utrzymuje, że nawet najbardziej rozwinięte narody europejskie zaledwie wyszły z cywilizacyi i znajdują się dopiero w okresie „niższej kultury.“ Do narodów tych zalicza on obok Amerykanów północnych i Anglików, także Niemców. Napozór zdaje się, że jest to przesada i że różnica między cywilizacyą a kulturą nie da się określić wyraźnie. W istocie jednak pogląd to słuszny. Jeżeli bowiem jakiekolwiek społeczeństwo nowoczesne, w którem np. istnieją bardzo surowe przepisy moralno-prawne, zestawimy w myśli z takiem, w którem ogół mieć będzie naturalne pragnienia życia moralnego, to dostrzeżemy zaraz różnicę. W pierwszem ludzie są cywilizowani, bo strzegą się wykroczeń, w drugiem są kulturalni, bo mają do nich odrazę. Między powstrzymywaniem się od kradzieży a wstrętem do niej, niezależnym od żadnego przymusu zewnętrznego, spoczywa ogromny stopień udoskonalenia. Kant, który za szczyt moralności uważał spełnianie obowiązku wbrew chęci i zadawanie dla niego gwałtu naturalnym upodobaniom, nie przeczuwał, że kiedyś jego ideał uznany będzie za pośledniejszy gatunek etyczny, właściwy cywilizacyi, ale niewystarczający kulturze. Jednocześnie wszakże miałby tę pociechę, że jego rodacy postępują według „praktycznego rozumu.“

Rzeczywiście, Niemcy stanowią klasyczny typ narodu cywilizowanego, który jeszcze nie wzniósł się do kultury. Organizacya życia jest tam poprostu wspaniała, ład bezprzykładny, zdolność kojarzenia sił zdumiewająca, pracowitość bajeczna, ścisłość nieporównana. Zdaje się, że oni wydajność energii ludzkiej podnieśli do najwyższego punktu i nadali jej objawom prawidłowość niewzruszoną. Wobec ich porządku życie każdego innego narodu przedstawia obraz chaosu, przypadkowości i fantastycznego zamętu. Ich ustrój społeczny jest maszyną, która jak każda maszyna nie zna miłosierdzia, tylko swój cel, i która przez wszystkie stosunki przepuszcza ostre noże regulaminu, obcinające bez litości to, co się w nim nie mieści. Mają oni również w sobie dokładność i sumienność narzędzi mechanicznych. Odmierzają i odważają rzeczy tak rzetelnie, jak metry i kilogramy, bez dodatku ze strony wyobraźni. Uczony jest tam tak ścisły, jak buchalter, a urzędnik tak skrupulatny, jak lekarz. Ile razy ogólnie charakteryzujemy jakąś masę ludzką, zawsze ktoś złapie na lasso wyjątki, które zaprzeczą regule. Więc łatwo też przytoczyć wiele wypadków, w których te rysy śród Niemców nie występują. Ale nie ulega wątpliwości, że one w ich naturze stanowią przewagę. Niemiec zasłużenie zyskał sobie w świecie sławę doskonałego instrumentu, jak wyborny mikroskop, karabin, monometr lub fortepian. Jest w każdym użytku „precyzyjny.“

Mimo tej wysokiej cywilizacyi zdradza on ciągle wydzierającą się z pod niej dzikość. Zwłaszcza w ostatnich latach nietylko w interesowanych zgrozę, ale w bezstronnych świadkach zdumienie wywołały objawy barbarzyństwa niemieckiego, które pozornie nie dadzą się pogodzić z duchowym rozwojem tego narodu. Okrucieństwa kolonizatorów germańskich w Afryce zaćmiły epokę wielkich odkryć, zdobyczy i gwałtów hiszpańskich w Ameryce. Nie wynikły one bowiem nawet z walki, ale były poprostu ohydną igraszką i przyjemnością drapieżnych instynktów. Trudno byłoby znaleźć w Europie drugą armię, gdzieby oficerowie i feldfeble stawali przed sądem za znęcanie się na żołnierzach w setkach i tysiącach udowodnionych wypadków. Trudno byłoby również znaleźć drugi sąd wojskowy, któryby oficera za zabicie pijanego a niesalutującego mu żołnierza skazał na paromiesięczny areszt. Trudno byłoby wreszcie znaleźć drugie państwo, gdzieby ojców pociągano do odpowiedzialności karnej za to, że ich synowie kształcą się w wyższych zakładach naukowych za granicą. Wszystko to się stało i było możliwem w Niemczech. Dlaczego?

Podobno my najczęściej zadajemy sobie to pytanie, gdyż nasi bracia z pod orła pruskiego dają mu ciągle sposobność do okazania ostrości swych szponów. Nie będę tu wyliczał powszechnie znanych kijów, rózeg, sztyletów, tortur, wynalezionych i stosowanych przez t. zw. „politykę antipolską,“ zauważę tylko, że o ile jedne z tych narzędzi mogą być do pewnego stopnia usprawiedliwione „względami państwowymi,“ tj. potrzebami uprawnionego gwałtu, o tyle inne służą wyłącznie do zadowolenia barbarzyństwa. Niedawno np. pruski minister oświaty wydał tajemny okólnik, zabraniający nauczycielom po za szkołą, a nawet w swych rodzinach, używać języka polskiego. Zaznaczyć należy, że i takie rozporządzenie byłoby niemożliwe w innym kraju. Ale czego ono dowodzi? Braku moralnej kultury w Niemczech. Gdy tresują psa, to go uczą wystawiać i aportować zwierzynę tylko biciem. Gdy uczą w szkole dzieci, to również wpychają im wiedzę kijem. Gdy ćwiczą rekrutów, to wszelką niepojętność karzą kułakiem lub kolbą. Wogóle przymus — wewnętrzny i zewnętrzny — ten przymus, który rozczulał Kanta na równi z gwiaździstem niebem, jest naczelną zasadą urządzeń i działań tego narodu. Nie próbował on siłą przynaglić bydła, ażeby się pokryło rybią łuską lub ryb kształcić w śpiewie, bo mu to niepotrzebne, ale podobnego gwałtu dokonywa na ludziach. Nauczyciele-Polacy w Prusach są tak przerażeni surowością i uciskiem rządu, że w ogromnej większości nie śnią nawet o jakimś oporze przeciwko jego woli. Ale jemu nie wystarczają ci złamani, strwożeni, podeptani służebnicy, trzeba ich jeszcze dosięgnąć zakazem w najtajniejszych zaułkach ich życia, tam, gdzie oni już nie spełniają żadnej funkcyi państwowej, tylko w ukryciu wydają stłumione dźwięki mowy, której się w dziecinstwie nauczyli. To już nie „rozum stanu,“ ale żądza zaspokojenia barbarzyńskiego popę-

du, który się przyczaił pod skorupą cywilizacyi.

W takich to właśnie objawach odsłania się niedorozwój albo kalectwo społeczeństw nawet bardzo ucywilizowanych — mianowicie brak kultury. Obecnie największym on jest u Niemców. Zdarzają się w ich życiu fakty, tak niewątpliwego barbarzyństwa, że możnaby je przenieść w obyczaje ludów pierwotnych. Ale naturalnie — chociaż w mniejszej mierze — cała Europa, która pielęgnuje militaryzm, oszczędza na oświacie i podszywa etykę polityką, dotknięta jest tym brakiem, którego zapełnienie należy do najważniejszych jej dążeń. Jedni świadomie to wyznają, drudzy bezwiednie czują, że pomimo olbrzymich skoków w postępie, pomimo wspaniałych wynalazków, tryumfów, wiedzy, rozkwitu sztuk, śród wielkiego blasku i bogactwa cywilizacyi żyje stara ciemnota i nędza, która już dawno zamrzeć powinna. Ten nasz mądry, elegancki, wystrojony świat zdradza ciągle nałogi barbarzyńcy i czasem tak dziko syknie, roześmieje się lub ujmie maczugę, jak gdyby nad ukształceniem go nie pracowały tysiące lat. Bo on nie ma jeszcze wysokiej kultury, dopiero te niezliczone i rozmaite prądy, które go przenikają z hasłami humanizmu, chcą mu ją dać. I wreszcie dadzą, a wtedy następne pokolenia dziwić się będą, że my umieliśmy jednocześnie żyć w różnych i bardzo od siebie oddalonych obrazach rozwoju, mieć upodobania jaskiniowców i wytwornisiów pałacowych. Wtedy wszelkie hakatyzmy, szowinizmy, nacyonalizmy, prześladowania wiar, przekonań i narodowości, spoczną w muzeum historyi, jak spoczęły w niem krwawe ofiary z ludzi, miedziani bogowie z rozpalonem wnętrzem i panowie karmiący ryby ciałem swoich niewolników. Pp. Bülowy, Hamersteiny i tym podobne gatunki przeżytkowe są jaskiniowcami w kulturze nowoczesnej.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Z dziedziny nauk państwowych.

I.

Pollock i umowa społeczna.

Parę niedawno wydanych książek z dziedziny nauk państwowych nasuwa mi garść różnych uwag.... A przedewszystkiem — tę, że w wyborze dzieł do tłomaczenia na język polski bardzo oględnym i wybrednym być trzeba, wywołuje szumnie zatytułowany „Wstęp do dziejów nauki państwowej“ Fr. Pollocka przez p. Alfreda Toma „spolszczony“ (Warszawa, 1904, skład główny w księgarni Wendego, str. 180). Oględnym i wybrednym — albowiem ograniczone są nasze siły i chęci wydawnicze oraz popyt na książki, rzecz nieodpowiednia, wydana na razie — szczególniej rzecz krótka, bo taka, będąc tańszą i uchodząc, często najniesłuszniej, za popularną, ma największe widoki pozyskania sobie wydawców — tamuje na długo drogę lepszym opracowaniom tego samego tematu. A zbiór odczytów Pollocka — bo zbiorem tylko odczytów jest leżąca przed nami książeczka — bez ogródek nazywam rzeczą dla naszego czytelnika zupełnie nieodpowiednią, niepożyteczną, a więc — z powyżej wyłuszczonych względów przynajmniej — szkodliwą.

Sam sir Fryderyk Pollock jest, zapewne, znakomitym i w swej ojczyźnie wysoko cenionym znawcą prawa państwowego, ale też chyba tylko jego wielką reputacyą wytłomaczyć sobie mogę, że mianowicie to jego dziełko przetłomaczono na języki francuski i niemiecki; zresztą tamte społeczeństwa nie mają takich powodów, jak nasze, do wybredności w wyborze książek do przekładu, mogą pozwolić sobie na tłomaczenie jakiejś książki dlatego tylko, że zawiera się w niej jedna lub dwie do pewnego stopnia oryginalne myśli. My tego robić nie powinniśmy — ponieważ osoby, mogące istotnie z tych paru myśli skorzystać, znajdą je i w wydaniach obcojęzycznych, a ogół, dla którego niewielka i tania książka zawsze zdaje się być przeznaczoną i który najchętniej taką kupuje, niczego się z niej nie nauczy, a tylko umocni w w swym nałogu powierzchowności...

Czemże jest bowiem książeczka Pollocka, ofiarowana nam przez p. Toma? Przedewszystkiem, nie jest bynajmniej *wstępem* do dziejów nauki państwowej — wstęp taki byłby istotnie pożądany — bo przecież pod tą nazwą przywykliśmy rozumieć wykład, o ile możności przystępny i zachęcający, głównych pojęć, uznanych i spornych, z któremi w studyowanej nauce państwowej będzie się miało do czynienia. Nam tu zaś dano poprostu *szkic* — nadzwyczaj pobieżny i nierówny — samych już dziejów tej nauki. W czterech rozdziałach autor zajmuje się: początkami nauki państwowej (czyli prawie wyłącznie Arystotelesem i trochę Platonem), średniowieczem i Odrodzeniem, wiekiem XVIII i umową społeczną, wreszcie — nowoczesnemi teoryami o zwierzchnictwie i prawodawstwie. Wykład ten jest zupełnie luźny; autor prawie nie zajmuje się związkiem genetycznym różnych teoryj pomiędzy sobą, ani związkiem ich z otaczającymi warunkami historycznymi i potrzebami społecznemi — choć niektóre ustępy świadczą, że mógłby zrobić to w sposób dość ciekawy (np. stosunek teoryi umowy społecznej do walk partyjnych w w. XVII w Anglii, str. 95, lub wyprowadzenie nieistniejącej u Anglików, a właściwej Niemcom, potrzeby poprzedzania wykładu prawa pozytywnego ogólną teoryą prawa przyrodzonego — z rozdrobnienia władz prawodawczych w dawnych Niemczech przy pewnych warunkach wspólnych, prawodawstwo określających (str. 163—4). Jest to poprostu szereg niepowiązanych niczem charakterystyk pisarzy pojedyńczych: Platona, Arystotelesa, Dantego, Macchiavelli ego, Bodina, Hobbesa, Lockego, Rousseaua, Monteskiusza, Burke go, Benthama, Spencera. Pomijam już to, że, jak powyższy spis wykazuje, szkic historyczny Pollocka zawiera ogromne i dotkliwe luki: nic o Stoikach; prawie nic o Polibiuszu, którego cykl form rządu powtarzają teoretycy nauki państwowej prawie do dziś dnia; wieki średnie traktowane po macoszemu — a przecie dla kogoś, kto, jak nasz autor, tyle zajmuje się ideą umowy społecznej, i wogóle dla historyka idej demokratycznych, jakże ciekawą i pouczającą byłoby rzeczą zbadać i wyłożyć powstanie idei *warunkowego* posłuszeństwa władzy, idei, pojawiającej się najpierw u Tomasza z Akwinu z zabarwieniem korzystnem dla Kościoła, który sądzi, czy władza świecka nie postępuje wbrew przykazaniom bożym. Potem Occam, obrońca władzy świeckiej, odwraca to samo ostrze przeciw Kościołowi: zdrowy rozsądek wiernych ma prawo sądzić, czy papież nie przekracza swych praw. Po zachwianiu powagi Kościoła, Marsyliusz z Padwy (jedyny, o którym Pollock parę słów mówi) staje na stanowisku krytycznem względem rządu państwa już poprostu w imię interesów ludu, formułuje trzy zasady demokracyi: władzę prawodawczą przyznaje ludowi, wykonawczą uzależnia od prawodawczej, która sądzi ją, zmienia lub obala. A te stopniowe przewroty ideowe powoduje stopniowy rozwój i uświadamianie się mieszczaństwa: Mikołaj Oresme, głosząc, że lud poruczył tylko władzę królowi i może ją w każdej chwili odebrać, wyprowadza stąd charakterystyczny, mieszczański wniosek, że królowi nie wolno na własną rękę zmieniać wartości monet! A tak ciekawi jezuiccy teoretycy królobójstwa, którzy wyprowadzili skrajne konsekwencye z nauki Tomasza z Akwinu! a ich równolegli współzawodnicy hugonoccy — nic o tem wszystkiem niema u Pollocka! Ten wielbiciel metody historycznej i realistycznej ani słowem nie wspomina o Vicu, najgłębszym krytyku prawa naturalnego; co dziwniejsze, ten Anglik pomija zupełnie Harringtona, głębokiego przeciwnika Hobbesa, który, może najpierwszy, wykazał zależność form rządu od stosunków własności! Po za temi lukami, z wymienionych charakterystyk żadna (z wyjątkiem może — Benthama) nie jest dość objektywną i wszechstronną, żeby dać o omawianym myślicielu pojęcie czytelnikowi początkującemu, żadna prawie nie jest dość oryginalną i głęboką, żeby mogła zainteresować człowieka, specyalniej tem przedmiot studyującego. Najjałowsze książki — niewiadomo, dla kogo pisane! Chyba tylko dla tych, którzy, znając i podzielając poglądy autora, obcując z nim często, chcieliby jeszcze raz swobodnie, luźno, *pogawędzić* z nim o tem i o owem. A więc oczywiście — przedewszystkiem i wyłącznie dla jego rodaków. Tem zapewne tłomaczy się, że wiele ustępów jest niejasnych *), o różnych rzeczach mówi się pobieżnie, jak o bardzo znanych (np. antagonizm szkoły angielskiej i kontynentalnej, str. 153—8, poglądy lorda Sherbrooke'a, str. 26), inne — są nieproporcyonalnie szczegółowo traktowane (Austin). Wymienione wady wypływają też stąd, że autor za główny obowiązek poczytuje sobie — polemizować prawie z wszystkimi omawianymi pisarzami, wykazywać, w czem który miał racyę, a w czem się omylił — z jego dzisiejszego punktu widzenia! Zawsze zdawało mi się, że takie zachowywanie się względem myślicieli przeszłości (praktykowane w dziedzinie nauki państwowej również np. przez Janeta i in.) jest śmieszne i filisterskie. Walczyć warto i można z tem, co *dziś* jest głoszone lub podtrzymywane; to też, gdy Pollock ma do czynienia z teoryą nie-interwencyi Spencera, to uwagi jego są dość żywotne i dowcipne (str. 168—176); co do idej przeszłych, to trzeba wykazać, jak i dlaczego powstać i minąć mogły i musiały — i w tem zawiera się już najlepsza ich krytyka! — nie zaś, jak to robi Pollock, operować Hobbesem, Monteskiuszem, Burkem, a przedewszystkiem Arystotelesem, niby figurami szachowemi w celu dania mata znienawidzonej teoryi — w tym wypadku teoryi umowy społecznej i metodzie racyonalistycznej prawa naturalnego...

Umowa społeczna jest dla Pollocka jakąś nieprzyjaciółką osobistą: nazywa on ją „jednem z najskuteczniejszych oraz najbardziej nieszczęsnych *oszustw* politycznych“! Jeśli spytamy, dlaczego, to znajdziemy najbardziej przekonywającą odpowiedź w zdaniu następnem: „Rousseau i Umowa Społeczna żniwo swoje zebrali w Rewolucyi Francuskiej“ (str. 35). Punc-

*) Do niejasności tej przyczynia się i niezbyt udolne tłomaczenie, które trudno nazwać „spolszczeniem.“ Co ma znaczyć np.: „Wewnątrz dającego się *powodować* obrębu państwa“? (str. 42). Albo: „w zgromadzeniu narodowem wszelka władza *odpoczywa*“ (str. 109). Na str. 35 powinno oczywiście być: „w *rozumowym* (nie zaś: rozumnym) porządku rzeczy.“ Któż mówi: „*surowych* konstytucyj“ w przeciwstawieniu do *giętkich*? (str. 139). Któż pisze: „własność podzielona z *tytułu*, lecz wspólna wobec korzystania z niej“? (str. 33). A to tylko nieliczne przykłady, które mógłbym znacznie pomnożyć.

tum. Rozumie się, dla *gentlemana* ta zbrodnia wystarcza; ale dla nas — bynajmniej. Nas to powiedzenie dzisiaj — raczej śmieszy. Co innego — przed jakimiś stu laty: wtedy teoretycy kontr-rewolucyi mieli jeszcze w oczach gilotynę—

niezmordowaną ręką machała stalową —

mieli jeszcze w uszach świst uraganu rewolucyjnego, który wysadził z posad całą starą Europę. Pollock widzi w Deklaracyi praw człowieka i obywatela, opartej na teoryi umowy społecznej, zbiór „napuszonych płaskości z tak szerokiemi zastrzeżeniami, że stają się złudzeniem“ (str. 112). Być może, ale wtedy nie była ona tem, lecz objawieniem nowych prawd, za które się walczyło, umierało i — zabijało. Myśliciele kontr-rewolucyi musieli obalić za pomocą krytyki teoretycznej te idee umowy społecznej i racyonalizmu indywidualnego, ponieważ bez tego Restauracya byłaby się opierała tylko na przemocy fizycznej—a to już, także dzięki Rewolucyi, nie wystarczało. I oni to wymyślili wszystkie te argumenty przeciw teoryi umowy społecznej i wogóle przeciwko racyonalistycznym konstrukcyom społecznym, które dziś Pollock i jemu podobni, liczni pisarze konserwatywni bezkrytycznie powtarzają, argumenty, sprowadzające się głównie do dwóch, a mianowicie: 1) stan natury, czyli stan bez państwa, nigdy historycznie nie istniał i nie istniała też nigdy historycznie żadna umowa społeczna, jako początek państwa; przeciwnie, „stan społeczny jest naturalnym stanem człowieka“ (Haller), który zawsze podlegał jakiejś władzy, jakimś nakazom zbiorowym, i bez społeczeństwa, czyli zawsze — bez władzy, żyć nie mógł i nie mógłby; 2) rozum, w imię którego żąda się w danej chwili rewizyi umowy społecznej, nie jest absolutnym, nieomylnym sędzią, lecz czemś zupełnie względnem i zależnem; nie on zresztą tworzył i tworzy instytucye, lecz niezależna od niego realna konieczność, wskutek czego żadna instytucya nie ma prawa nazywać się naturalną w przeciwstawieniu do innych, wszystkie są jednakowo naturalne i jednakowo sztuczne.— Powiedzieliśmy, że argumenty te powtarzają konserwatyści; ale któż nie pozna w nich poglądów, rozpowszechnionych również, utartych zupełnie, i w obozie reformacyjnym doby dzisiejszej? Powiedzieliśmy, że są one powtarzane bezkrytycznie — ponieważ, zdaniem naszem, mógłby już dziś przyjść czas na rewizyę tych utartych poglądów na kwestyę umowy społecznej oraz *wartości* racyonalizmu krytycznego. Ma się rozumieć, rewizya ta nie mogłaby być powrotem do płytkich i łatwych deklamacyj, wygłaszanych dziś jeszcze przez racyonalistów francuskich, którzy się niczego nie nauczyli. Tu trzebaby stanąć właśnie na gruncie realnym, zdobytym przez szkołę historyczną.

Oczywiście, mogę tu rzucić na ten temat zaledwie kilka myśli, ale sądzę przecie, że pismo peryodyczne powinno właśnie czasami i do tego służyć... Otóż zwracam uwagę na to, że, wbrew zbyt absolutnemu twierdzeniu przytaczanych krytyków, umowy społeczne istnieją rzeczywiście w dziejach każdego narodu. Prawda, że nie u progu rządu wogóle, czyli pierwszej, jaka była, formy rządu — przynajmniej, jeśli za taką uważać władzę ojca — lub matki — nad dziećmi, bo jeśli brać dalsze, choćby jeszcze bardzo pierwotne formy rządu, to już nasuwa się z wielką siłą pytanie, czy przy utrzymywaniu się ich, jeżeli nie przy powstaniu, nie grała roli pewna *świadoma* i *zawarunkowana* zgoda ogółu wraz z możnością wyłamania się? Ale można twierdzić, że w historyi początków każdego istniejącego rządu nowożytnego jest punkt, na którym wyłania on się z umowy społecznej. A o to przecie w istocie rzeczy idzie. Nietylko konstytucye nowożytne są umowami społecznemi; były niemi również owe konstytucye, nadawane przez zwierzchników feudalnych walczącym o nie miastom w wiekach średnich, na szeregu umów opierała się wszędzie wzrastająca jedność państwowa, na wyborze z warunkowem, określonem posłuszeństwem — władza monarsza lub korporacyjna; jednem słowem, całość prawa państwowego każdego narodu uważać można było, i można tembardziej dziś wprawdzie nie za jedną, prostą i jasną, umowę społeczną, ale za skomplikowany system takich umów. Oto historyczna podstawa teoryi umowy. Pisarze dawniejsi lepiej zdawali sobie z niej sprawę, niż późniejsi: — rzecz prosta, bo byli jej bliżsi. I Pollock wspomina, że Fortescue, Hooker, „wyobrażali sobie konstytucyę angielską, jako w pewien sposób opartą na dobrowolnej ugodzie pierwotnych założycieli państwa.“ Podobnie pisarze polityczni we Francyi w w. XVI, w chwili kryzysu monarchii, krystalizowania się absolutyzmu; powołano się na coś podobnego i w przeddzień rewolucyi francuskiej. A i sam racyonalista typowy Rousseau ma wciąż przed oczami konstytucyę z r. 1387, nadaną Genewie przez biskupa Fabri'ego. Całym błędem racyonalistów umowy, - lecz błędem koniecznym, a zarazem źródłem potęgi przewrotowej —było abstrakcyjne uogólnienie, stopienie całego szeregu konkretnych faktów historycznych, mogących być przedmiotem wspomnień i żalu, w jedną hypotezę logiczną, służącą za narzędzie przekształcenia. Bo i oni przecie nigdy w rzeczywistości nie pragnęli i nie przypuszczali rozwiązania umowy społecznej wogóle, lecz tylko zastąpienia istniejącej umowy — nową, zgodną z tym rozumem, który im się wydawał absolutnym, ale był wyrazem nieodpartych potrzeb nowożytnych.

Istnieje przekonanie, że w teraźniejszym prądzie społeczno-reformacyjnym tego rodzaju idee nie odgrywają żadnej roli, że jest on nawskroś i wyłącznie historyczno-realistycznym. Otóż sądzę, że i to przekonanie należałoby poddać odpowiedniej rewizyi. Bo o czemże to mówią np. Marx i Engels (że już nie wspominam o Lassalle'u) we wszystkich swych dziełach, nietylko w młodzieńczych, jeśli nie o wyzwoleniu *człowieka* wogóle i poprostu, w odróżnieniu od emancypacyi człowieka, tylko jako obywatela, itp.? W młodzieńczych pismach występuje to ze szczególną siłą; a młodzieńcze pisma są w tym wypadku dlatego ważniejsze od innych, że pokazują nam, co było w tych twórczych teoryi fermentem twórczym i przewrotowym. Otóż w „Krytyce filozofii prawa Hegla“ Marx mówi, że prawdziwego i ostatecznego wyzwolenia, które będzie zarazem urzeczywistnieniem filozofii, może dokonać tylko klasa, niepowołująca się na żadne prawo historyczne, tylko poprostu na swoje prawo ogólno-ludzkie. Cóż to, jeżeli nie nowe wydanie praw człowieka? A więc istnieje ogólno-ludzkie, rozumowe kryteryum prawa. Nie empiryzm szkoły historycznej, lecz racyonalizm — prawda, racyonalizm dyalektyczny filozofii idealistycznej wykarmił Marxa. Ze szkołą historyczną załatwia on się bardzo szyderczo — w pysznym artykule z *Rhein. Ztng.* (1843) p. t. „Das philosophische Manifest der historischen Rechtsschule.“ (wyd. Mehringa, Nachlass, tom I, str. 286), napisanym z powodu jubileuszu Huga, profesora z Getyngi, mistrza Savigny'ego. Hugo wyraził rzeczywiście istotę czystego historyzmu w karykaturalnie nagiej formie: ponieważ Kant wykazał, że prawdy poznać nie możemy, że rozum nasz jest względny, więc *żadna* instytucya ludzka nie opiera się na rozumie, wszystkie są jednakowo nierozumne, lecz ta, która istnieje, jest widać niezbędną, więc poddawać się jej trzeba poprostu dlatego, że jest. Marx twierdzi, że podobna szkoła nie jest reakcya przeciwko lekkomyślności XVIII w., lecz jej najgorszym wykwitem, filozofią zgangrenowanego *ancien régime*, sceptycyzmem *des roués*. Coprawda, już świetny dyalektyk Rousseau (jedno pokrewieństwo więcej z Marxem) wyrwał podobnym teoryom całe ich konserwatyne żądło, dowodząc: „w imię zasady, że wszystko, co jest, jest dobrem, należy uznać, że jeśli ktoś usiłuje zmienić to, co jest, to i jego usiłowania są dobrą rzeczą; i o tem, czy dobrze lub źle jest, żeby mu się powiodło, można już sądzić jedynie z faktu dokonanego, nie zaś z rozumowań...“ Istnieje nawet bardzo ciekawy list Marxa do A. Rugego, w którym autor oświadcza, że „ludzkość nie zaczyna dziś nowej pracy, tylko dopełnie świadomie swego starego dzieła,“ albowiem „rozum istniał zawsze, tylko nie zawsze w formie rozumnej“ (d. c. str. 383—1). Sprawdzian rozumowy, idealny, istniał więc od samego początku w marxizmie; i cechą charakterystyczną tej szkoły jest tylko, że, poddając się wyrokowi nauki co do względności, historyczności i warunkowości tego sprawdzianu, umiała jednak zachować mu całą reformatorską siłę dla danego okresu dziejowego...

Daleko odbiegliśmy od Pollocka... Ale bo doprawdy, jego książka o tyle tylko ma wartość, o ile obudzi w kimś jakieś skojarzenia myślowe.

Wracając do niej, chciałbym skończyć— życzeniem, żeby ogół czytający był podejrzliwszy względem książek krótkich o tematach obszernych: czasem bywają między niemi świetne, ale jakże rzadko bywają — dobre!

Dr. K. Krauz.

LITERATURA I SZTUKA.

Felix Hollander.

Niewiele wybitnych talentów liczy powieściopisarstwo niemieckie a powieści tam — moc. Rok rocznie rynek księgarski zasypany jest różnymi utworami, współzawodniczącymi z sobą banalnością i przeciętnym szablonem. (Nie jest to zresztą bynajmniej specyalną własnością Niemców; to samo zjawisko wszędzie dojrzeć można). Fabrykaty te ściśle odpowiadają smakowi publiczności, lubującej się w ciepłej wodzie i „gemüthlichkeit,“ jak Francuz kocha się w skandalach na tle płciowem, a my zarówno w jednem, jak w drugiem. Od czasu do czasu jednak zauważyć można utwór żywszy, zdradzający talent.

Między zdolniejszymi literatami wielu ubiega się o pewien „modernizm“ formy i treści. Modernizm to specyalnie niemiecki, więc wstrzemięźliwy i umiarkowany. Niema w nim buntu, niema ostrych starć z przeszłością literatury. Szanują oni pewne „przyzwoitości“ współczesnego mieszczaństwa; bardzo rzadko pozwolą sobie na coś, coby stało w jaskrawem przeciwieństwie do uznanych świętości.

Ruch ten polega na ożywieniu formy i zwracaniu uwagi na typy, powstałe pod wpływem nowych prądów. Jeżeli „modernistyczny“ powieściopisarz niemiecki zbyt się zapędzi w objawach sympatyi dla swych współczesnych „bohaterów,“ to spieszy zaraz podkreślić, że jego osobiste poglądy są zupełnie inne.

Dzisiejsza generacya niemiecka rosła pod różnymi wpływami. Z jednej strony— „cnoty“ wzmagającego się na siłach mieszczaństwa: ordynarny nacyonalizm, którego

hasłem jest Bismarck, nacyonalizm wyłącznie klasowy, nienawidzący wszystkiego, co nie jest niemieckiem (w pruskiem znaczeniu tego słowa), jak i tego, co jest związane z ruchem emancypacyjnym klas pracujących.

Obok tego głównego prądu, streszczającego dumę „zwycięzców,“ działały wpływy postronne, sięgające daleko po za dzisiejszą przeciętność. Punktem wyjścia dla nich byli Nietzsche i Marx. Prądy te szły różnemi drogami, krzyżowały się nawzajem, ścierały, to znów godziły, łączyły. Wywarły one wpływ kształtujący na Niemcy współczesne, nie na masę, lecz na jednostki uświadomione aż do samodzielności myśli — myśli przeważnie, bo czynu — czynu daleko mniej tam...

Do pisarzy inteligentnych, zwracających uwagę na współczesność, należy Felix Holländer. Jest to umysł spostrzegawczy, jasno i bystro patrzący na życie. Zasługuje on na uwagę, jako właśnie wyżej naszkicowany modernista niemiecki; dzieła jego, choć nie są wytworem szczerego, głębokiego natchnienia, żywo jednak i zajmująco odzwierciedlają współczesne pokolenie. Terenem jego spostrzeżeń jest Berlin; zna on dobrze puls jego oddechu. Obraz nowopowstałej stolicy daje wypukły i wielostronny.

Na pierwszy rzut oka miasto działa niezwykle odpychająco. Koszarowe, olbrzymie domy, sztywne ulice, patryotyczne pomniki, wszędzie kaiser-könig — ta forma zewnętrzna nakłada specyalne znamię na mieszkańców. Wielcy, ociężali, sztywni, dusza ich, zda się, zakrzepła, przyjęła postać żołnierza salutującego władzę, wyciągnięta, jak struna, czeka rozkazu, raduje się, gdy zwierzchnik splunie w pobliżu niej. Prusactwo, to pierwsza, zewnętrzna cecha każdego przechodnia na ulicy. Ciężar jakiś ołowiem legł na tych ludziach, uczynił ich dziwnie monotonnymi i służbowymi. Myśl tam porusza się wolno; zresztą pozostawia się ją specyalistom, bo każdy tu nie wychodzi myślą po za swój warsztat.

To na pierwszy rzut oka. Jeżeli dłużej pobyć w Berlinie, obraz stolicy pruskiej poczyna się zmieniać. Na tle ogólnem odbijają pewne wypukłości — grupy, warstwy, jednostki. Wiele tonu dają pisarze. Dobrą podobiznę tych sfer mamy w powieści „Sturmwind in Westen.“ Ludzie ci wyzbywają się wszelkiego balastu myślowego, jak i uczuciowego, niemającego bezpośredniego związku z giełdą. Wszystkie swoje siły ogniskują w tak zwanem „robieniu interesów.“ Są to nowocześni władcy, wysysający wszystko, począwszy od własnej duszy. Z rozmysłu finansowego kochają się, popierają sztukę, zawiązują stosunki z kobietami, aby mieć wszystko; dla nich mieć to nie środek, lecz cel. Wyschli, zimni, elektryzują się taniem użyciem, w rozpuście nie mają wyrafinowania swych paryskich kolegów, są ordynarni, brutalni.

Co wśród tej sfery bardziej jest żywotnego, tego otaczający ani pojąć, ani odczuć nie mogą; poprostu nie mają na to czasu. Impulsywne naprężenie myśli w pewnym kierunku pochłania i niweczy inne cechy umysłowości. Gną wszelkie objawy buntu, a jak magnes ciągną ku sobie półtalenty, inteligencyę itd. W salonach, rysowanych przez Holländra, kręcą się artyści, literaci, uczeni, posłowie — wszystko narzędzia potulne i posłuszne.

Natury bardziej żywotne duszą się tu i — giną. Jadem szablonu przesiąkłe, nie mogą zerwać więzów, nie mają siły; zbyt znów są czułe, żywotne, aby stać się jako inni; więc szamocą się i powoli tracą życie.

Gorączka tych sfer, nadająca wyraz wielu przejawom życia współczesnego, rozlewa się szeroko—obok spokojnego, pracowitego tłumu, wre, kipi, spieszy się wielkomiejska masa tego samego poziomu, tylko stale niespokojna i uganiająca się.

Dusze to przeważnie sprostytuowane, niezdolne do żywszej namiętności. Bije z nich ogromny brak ogólnej kultury. Przy zetknięciu się z innemi występuje straszna ordynarność i płaskość.

Mniej głośny, lecz za to liczniejszy odłam burżuazyi berlińskiej przedstawił F. Holländer w powieści swojej „Frau Ellen Röte.“ Mamy tu małe dusze komiwojażerów, małe ich zachwyty, miłostki, cnotki itd., a wszystko objęte bardzo ciasnem kołem. Dziwne to postacie. Wśród najbardziej społecznie upośledzonych, wśród współczesnych paryasów pod szorstką, czasami brutalną powłoką odczuć można sięgające dalej porywy, tęsknotę do wyższego rozwoju. A wśród tej małomieszczańskiej sfery, gdzie już ludzie mają pewien grunt pod nogami, są znacznie bliżej kultury — ta chęć, dążenie zamiera. Obracanie się w kółku ciasnych formułek, niewybieganie myślą po za kontuar—to główne cechy tych obywateli. Są między nimi różni — bardziej i mniej brutalni, tak zwani dobrzy i tak zwani źli, lecz wszyscy oni to mrówki drepczące i dumne ze swego dreptania.

Zaniknięcie wszelkiego indywidualizmu i wcielenie się w stadyum „cichego“ zakątka postrzegł i oddał Holländer trafnie i umiejętnie. Powieść ta wskutek swej dokładności aż nuży monotonną szarzyzną i przeciętnością.

Na tle warstw wyrastają jednostki, będące pewnemi ściśle zarysowanemi indywidualnościami.

Ci samotnicy dzisiejszej cywilizacyi, to ulubiony temat Holländra. Powieści „Erlösung,“ „Jezus und Judas,“ „Der Weg des Thomas Truck“ są najlepszymi z jego utworów. Choć autor nie daje się porwać uczuciu, lecz pojmuje inteligentnie wszelką nieprzeciętność i z zamiłowaniem do niej powraca. Każda powieść jego potrąca o tę strunę. Wszędy trzepocze się, jak ptak uwięziony w klatce, duch spętany, czujący ból i swą niemoc. Myśl pracuje gorączkowo, szuka, łaknie i płacze się wśród ciemności. Oczy mają ci „przeczuleni“ wpatrzone w przyszłość. Truck, to jaskrawy, mocno narysowany typ tej męki współczesnej. Proces jej idzie tak mniej więcej: myśl buduje w samotności, później następuje zetknięcie się z życiem i żądza czynu — natychmiastowego, gwałtownego, druzgocząćego, nie działania społem, jako pracy trwałej i obliczonej na daleki rezultat, lecz czynu, któryby wywołał zmianę z natychmiastowością piorunu, któryby miażdżył i budował. Spojrzenie rzucone w przyszłość z nienawiści ku teraźniejszości. Chwilowe szamotanie się, walka, napięcie siły — niemoc, obojętność tłumu i niezrozumienie przez najbliższych. Jednych ta męka krzyżuje, innych doprowadza do zajadłości; ciągła nędza, ból, powodują gorycz i plucie na wszystko: nie widzą oni nic przed sobą, czasem tylko chwytają się myślą czegoś, jak tonący ostatniej deski — ta trzeszczy, łamie się, zanurza i ginie.

Inni znów, wiedzeni uczuciem, żyją w przededniu cudu i czekają cierpliwie lub niespokojnie... Wszystkich ich cechuje wielka niepewność, częsty lęk i wewnętrzne wysuszenie, stałe podrażnienie nerwów i cząstkowe przeczulenie nie dozwala im spaść do poziomu przeciętnych weltstadtmenschów.

Psychologia najmłodszych dzieci dni dzisiejszych zajmuje bardzo Holländra. Nie maluje on prądów, nie bada echa haseł w duszach; fala wzrastająca lub opadająca nie dochodzi do niego, on widzi tylko pewne, niezwykłe zagadnienia psychiczne, pewne załamanie się wewnętrznych promieni; treść ich nie wzrusza go, tylko sam proces reagowania i wchłaniania pociąga. Pomaga mu w tem spory dar spostrzegawczy. Przesądy, anachronizmy myśli nie są obce jego umysłowości, lecz nie zaślepiają jego oczu. Widzi on wiele, odczuwa mało. Wskutek tego mamy ciekawy fakt w jego twórczości: rysuje Holländer dość drobiazgowo, chwyta liczne nerwy; ludzie jego wywierają wrażenie istot żywych, a jednak brakuje im czegoś, co trudno ująć i określić. Brakuje wewnętrznego wyrazu.

Holländer ma zupełną świadomość swego czynu; po przez warstwę zwierzchnią wielkomiejskiego życia zdołał on dotrzeć do wnętrza i dojrzeć głębsze porywy i żywsze cierpienia. Uważając się za przechowawcę dawnego realizmu, obrazuje on życie, lecz wstrzymuje się od oświetlenia własnej duszy, nie daje owego zabarwienia osobistego, owego uchylenia drzwi od skrytek ducha. Ulepsza, doskonali dawną metodę, lecz trzyma się jej umyślnie i ściśle.

Choć blizkim jest nerwu życia, stare wyszkolenie powstrzymuje go od nowej metody tworzenia. Ta jego wstrzemięźliwość powoduje pewną monotonność, w typach chwyta on to, co się uzewnętrznia, w czem ludzie często są do siebie podobni, różni ich pewien skryty wyraz, który można odczuć, lecz którego nie można odnaleźć drogą konstrukcyjnego myślenia.

Z wyżej zakreślonych cech Holländra wypływa dalsza konsekwencya: brak poezyi, tej nieuchwytnej barwy, przenikającej najzwyklejsze opisy (np. u J. Schlafa). Czasem i u niego drgnie żywiej pióro; szczególniej gdy pisze o dzieciach i naturach kobiecych — subtelne, delikatne, cieplarniane rośliny giną od ostrzejszego wiatru. Tu język jego, zazwyczaj oschły, nabiera miękkości i wdzięku, świadczącego, że i ta niby obojętna natura ma w sobie iskrę uczucia.

Zbigniew Brodzki.

SPRAWY EKONOMICZNE

Przemysł na G. Śląsku

w r. 1903

i sprawa górniczych kas brackich.

(Ciąg dalszy).

Dzień pracy jest w przemyśle górnośląskim nadzwyczaj długi, wynosi zwykle 10—12 i więcej godzin na dobę; w nielicznych kopalniach zaprowadzono 8-godzinną dniówkę.

Warto zwrócić uwagę na charakterystyczny szczegół z życia górniczego: w górnictwie europejskiem obliczają wózki węgla, niedostatecznie zapełnione, sumując ilość wydobytego węgla. Na Górnym Śląsku wózki te zostają wprost odrzucane — górnik nie dostaje w takim razie żadnej zapłaty za swą pracę. System ten prowadzi oczywiście do nadużyć. Wykryto np. niedawno w jednej z większych kopalń górnośląskich, że urzędnicy takie wózki „kasowane“ zapisywali na nazwiska nieistniejących robotników, a w dniu wypłaty odbierali ich zarobki dla siebie. W przemyśle górnośląskim panuje wogóle niezwykła samowola, często brutalność urzędników wobec robotników. Ci zaś, nie mając silnej organizacyi, zmuszeni są nieraz zgryźć twardy orzech, wysłuchać ubliżających wyzwisk, byle tylko nie stracić pracy. Robotnik górnośląski nie ma też jeszcze tak wyrobionego poczucia solidarności koleżeńskiej, jakie cechuje tłumy robotnicze, należące do organizacyi. Udręczenie i ucisk, ciężka praca zawodowa od 14 roku życia, ponure mieszkania robotnicze, długi

czas pracy i brak rozwiniętego życia rodzinnego, przyzwyczajenie do znoszenia krzywdy, uleganie potężnemu właścicielowi kopalń lub jego sztygarom, świadomość, że w tem wszystkiem decyduje siła brutalna a nie sprawiedliwość, marne wychowanie germanizacyjnej szkoły pruskiej, ujemny wpływ klerykalizmu — oto szereg czynników, utrudniających rozwój uczuć szlachetniejszych i wznioślejszych w tłumach robotniczych.

Tłumy te na Górnym Śląsku żyją w wiecznem rozgoryczeniu, w poczuciu wielu krzywd. Tu starszy robotnik, który pracował 26 lat w hucie i dostał złoty zegarek na pamiątkę 25-letniego jubileuszu służbowego, zostaje zadenuncyowany, że namawiał kolegów do wstąpienia do związku zawodowego. Wyrzucają go z huty. Płacił on przez 26 lat składki do kasy pensyjnej, działającej tylko na danej hucie. Występując z kasy, traci wszelkie prawo do niej, zdobyte dawaniem składek przez 26 lat. Robotnik żąda, by mu zwrócono składki. Odmawiają. Pozostają mu tylko dwa wyjścia: utrata wszystkich praw w kasie, lub płacenie składek nadal (plus tego, co dawała dotychczas huta). To ostatnie jest prawie niemożliwem, gdyż tam, gdzie dostanie nową pracę, musi też opłacać składki na kasę. Istnienie poszczególnych kas pensyjnych w każdej hucie jest dla hutników systemem uzależnienia ich zupełnego od zarządu, gdyż wyrzucenie równa się nieraz utracie kilkuset marek, wpłaconych przez długie lata.

Innemu znowu, starszemu górnikowi po nieszczęśliwym wypadku nie chcą przyznać renty. Procesuje się przez dwa lata — bezskutecznie. Stara się znowu o pracę — nie dostaje. Chodzi od jednej kopalni do drugiej — daremnie. Postanawia więc „napisać“ do landrata: „niech mnie żywią, kiej mi roboty dać nie chcą.“ I nie wierzy, że mu landrat nic nie pomoże, że niema już dawnego prawa górniczego do pracy. Jeszcze inny został wydalony, ponieważ należał do związku zawodowego. Obchodzi kopalnie, szuka pracy. „Dobrze, możecie zacząć.“ Pytają go o nazwisko, robotnik oddaje papiery. W kilka minut dostaje odpowiedź. „Nie, dla was pracy niema.“ Czarna lista górnośląskiej organizacyi przemysłowców działa nadzwyczaj skutecznie i to tak dalece, że bojkotowany robotnik nie może dostać nawet mieszkania w swej osadzie.

Z położeniem górników jest ściśle złączona sprawa „knapszaftów,“ czyli górniczych kas brackich. „Knapszafty“ zostały stworzone w Niemczech setki lat temu przez samych górników, którzy mieli w swych kasach zupełny samorząd. Ustawy ówczesnych kas brackich zawierały ważne przepisy co do stosunków robotniczych w kopalniach. W kasach westfalsko-nadreńskich istniały podobne przepisy jeszcze 60 lat temu — w ostatnich czasach przedkapitalistycznej ery w górnictwie pruskiem. Przyjmowanie i wydalanie górnika było prawem, które przysługiwało tylko władzy górniczej, a nie właścicielowi kopalni. „Zapisanych“ członków kasy knapszaftowej niewolno było pozbawiać zajęcia; w razie braku pracy wydalano młodszych robotników, starszych zatrzymywano, wręcz przeciwnie, niż dzisiejsza praktyka. Później władze państwowe ogarnęły zarząd kas brackich. Wreszcie z przejściem górnictwa w ręce kapitału prywatnego, zarząd kas brackich przeszedł również do kapitalistów.

Z pruskich kas brackich są dla nas najważniejsze: kasa górnośląska i nadreńsko-westfalska, gdyż i w tym okręgu pracuje około 80,000 polskich górników. Ciekawsze cyfry ze statystyki knapszaftowej czerpiemy z doskonałej broszurki „Streifflichter auf unser Knappschaftswesen,“ wydanej przez Związek górników niemieckich. Pierwszym brakiem kas brackich jest ich rozdrobnienie — w r. 1901 było ich w Niemczech 139, a oprócz tego 83 „knapszaftowych“ kas chorych. Większe kasy brackie, jak np. górnośląska, udzielają pomocy w chorobie, pensye w razie niezdolności do pracy i wsparcie wdowom i sierotom. W państwie pruskiem było w 1901 r. 73 kas brackich, liczących 613,131 członków (w 1895 r. — 428,126 członków).

Prawie we wszystkich kasach dzielą członków na „zupełnie“ i „mniej uprawnionych.“ W kasie górnośląskiej np. było w 1901 r. 46,322 zupełnie, a 52,558 mniej uprawnionych.

Każdy robotnik, przyjęty do pracy w górnictwie górnośląskiem, staje się „mniej uprawnionym“ członkiem tarnogórskiej kasy brackiej. Zupełnie uprawnionym członkiem może być tylko ten, kto zarabia 2 marki i więcej na dzień; 1) skończył 21, a nie ma jeszcze 40 lat; 2) był przynajmniej rok mniej uprawnionym członkiem; 3) wykaże świadectwem lekarza kasy, że jest zupełnie zdrów.

Do zajęć w górnictwie przyjmują ludzi tylko zupełnie zdrowych. Jeżeli po kilku latach pracy w kopalniach zdrowie jest nadwyrężone, robotnik nie może się stać zupełnie uprawnionym członkiem kasy i traci wskutek tego różne prawa, szczególniej prawo do pensyi w razie niezdolności do pracy (po za niezdolnością, spowodowaną nieszczęśliwym wypadkiem w kopalni; w tym razie i mniej uprawniony dostaje rentę, ale mniejszą, niż zupełnie uprawniony). Składki do górnośląskiej (tarnogórskiej) kasy brackiej wynoszą dla zupełnie uprawnionych w 1-ej klasie 6 m. 25 f. miesięcznie, w 2-ej — 4 m. 50 fen., w 3-ej — 3 m. 75 f., w 4-ej — 2 m. 50 f.; dla mniej uprawnionych — od 4 m. 50 f. do 50 fen. na miesiąc. Wsparcie dla chorych, którzy leżą w lazarecie „knapszaftowym“ i mają rodzinę do utrzymania, wynosi w 1-ej klasie 1 m. 20 f. dziennie, w ostatniej 30 fen. (!). Dla nieżonatych od 15 do 40 fen. dziennie. O ile chory nie jest umieszczony w szpitalu, wsparcie wynosi w 1 i 2-ej klasie 1 m. 60 fen. dziennie, w ostatniej 40 fen., po za tem dla wszystkich bezpłatny lekarz i lekarstwa. W razie nieszczęśliwego wypadku, powodującego niezdolność do dalszej pracy, wszyscy członkowie kasy otrzymują wsparcie. W razie niezdolności, która następuje z innych powodów — choroby, słabości, starości itd. — wsparcie otrzymują tylko członkowie, należący do klasy „zupełnie uprawnionych.“ Wysokość wsparcia zależy od klasy zarobkowej i podwyższa się za *każdy* rok dłuższej *pracy*. Wsparcie to wynosi miesięcznie:

po służbie wynoszącej lat	w klasie 1-ej	2-ej	3-ej	4-ej
		marek		
10 (najniższa klasa)	15.65	12.70	10.75	6.90
20	31.25	25.40	21.50	13.75
30	46.90	38.05	32.25	20.65
40	62.50	50.75	43. –	27,50.

Statut przewiduje i pracę 54-letnią. Oczywiście, że wszystkie rachunki, przewidujące pracę górniczą na więcej, niż 30 lat — to proste kpiny! Podług statystyki ogólnoniemieckiej z r. 1901, członek kasy brackiej był przeciętnie po 24—25 latach zajęcia w kopalni zupełnie niezdolnym do dalszej pracy. Członek „mniej uprawniony“ wcale pensyi z kasy brackiej nie dostaje, chyba w razie nieszczęśliwego wypadku, ale i wtedy mniej, niż „zupełnie uprawniony. Wdowy po *„zupełnie* uprawnionych“ członkach kasy otrzymują wsparcie w razie, gdy praca męża nie wynosiła więcej niż 15 lat, do wysokości 11,75 m., 9,50 m., 8,05 m., 6,20 m. (4 klasy) miesięcznie. Po trzydziestoletniej pracy męża — 23,45 m., 19,05 m., 16,15 m., 10,30 m. Sieroty po „zupełnie uprawnionych“ i po „mniej uprawnionych,“ zmarłych z powodu nieszczęśliwego wypadku przy pracy, otrzymują również wsparcie. Wszystkie powyższe dane są wyjęte z urzędowej ustawy górnośląskiej kasy brackiej. Widzimy więc, że większe kasy brackie mają szeroki zakres działalności.

(D. n.)

J. H.

Z PRASY.

— *Echo de Paris* zamieściło rozmowę korespondenta francuskiego z ministrem spraw wewnętrznych, ks. Światopołkiem-Mirskim, którą *Now. Wrem.* w następującej treści przytacza:

„Książę mówi biegle po francusku; jego poprzednik czasami zatrzymywał się, dobierając wyrazów lub wahając się w ich wyborze, mowa zaś księcia płynie swobodnie i jasno. Czuć, że się ma sprawę z człowiekiem uprzejmym i dobrym, który odrazu ujmuje dla siebie. Zmarły W. K. Plewe naodwrót, był chłodny i suchy w obejściu, chociaż w istocie był także uprzejmy.

Książę uśmiechnął się dobrodusznie, kiedy mu wyliczałem nazwiska wszystkich kandydatów, których nominacya, jak o tem donosiłem w depeszach, wydawała się prawie pewna.

— Czy to prawda, ekscelencyo, że nie byłeś skłonny przyjąć obowiązku, który mu obecnie już urzędowo powierzono?

— Bez wątpienia, nie byłem w zachwycie, kiedy dowiedziałem się o projektowanej nominacyi; nie ulega jednak wątpliwości, że nie wypływa to z obawy odpowiedzialności, z trwogi przed ciężarem pracy, przywiązanej do tego poważnego posterunku. Ale jestem prowincyonalistą i stanowisko generał-gubernatora wileńskiego zupełnie mnie zadawalało. Z drugiej strony nie jestem człowiekiem zupełnie zdrowym i cierpię nieco na astmę. To wszystko jednak nie mogło być przeszkodą w poważnych okolicznościach i, oczywiście, wypadło odrzucić wszelkie wahania. Gdybym cieszył się kwitnącem zdrowiem, nie byłbym zapewne ministrem; zaraz po wybuchu wojny postarałbym się o stanowisko w wojsku, w armii gen. Kuropatkina. Wilno zastąpiłbym Laojanem. Los jednak chciał inaczej. Teraz wypadnie przesiedlić się do Petersburga.

Na pytanie korespondenta, czy objęciu ministeryum przez nowego ministra towarzyszyć będą duże zmiany w polityce wewnętrznej Rosyi, książę odpowiedział:

— Wielkie zmiany — nie, mam jednak zamiar postępować w myśl programu, wyłożonego w Manifeście Najjaśniejszego Pana, ogłoszonym w lutym 1903 r. Opierając się na zasadach, wskazanych przez Jego Cesarską Mość, będę się starał pogodzić moje czynności z duchem prawdziwego i szerokiego postępu, przynajmniej, o ile on nie jest w sprzeczności z istniejącym ustrojem. Jako prowincyonalista, kochający prowincyę, gdzie upłynęła większa część mojej karyery służbowej, jestem zdecydowanym zwolennikiem decentralizacyi. Przypuszczam, iż nie wszystkie zagadnienia powinny się rozstrzygać w Petersburgu. Będę w tej mierze wyrazem życzeń Najjaśniejszego Pana, pozostawiając naszym instytucyom ziemskim i miejskim jak najwięcej możności do załatwiania zgodnie z życzeniem ludności spraw, dotyczących szkolnictwa, żywności, urządzeń komunikacyi itd. Damy ziemstwom najszerszą swobodę, jaką tylko można dać tym zgromadzeniom, tak podobnym do waszych „conseils généraux.“ Nasze położenie wewnętrzne, jakkolwiek nie nadzwyczajnie poważne, ale bądź co bądź jest zawikłane. Po co zaprzeczać temu? Drogą dobrej organizacyi samorządu miejscowych, ziemskich i miejskich instytucyj możemy wiele osiągnąć w naszem życiu wewnętrznem.

Korespondent nadmienił, że spotyka się ze zdaniem, iż potrzebni są ministrowie odpowiedzialni. Na to pytanie ks. Światopełk-Mirski uśmiechnął się i zauważył:

— Przed kim mają być odpowiedzialni? Oni zależą wyłącznie od Najjaśniejszego Pana, panującego z Bożej Łaski. Rola ministrów ogranicza się do wypełniania woli Cesarza. Wszelka odpowiedzialność byłaby sztuczna i nominalna.

— Jakie są poglądy pańskie na sprawy wyznaniowe?

— Jestem wrogiem prześladowań religijnych i stronnikiem możliwie najpełniejszej wolności sumienia, ale z niejakiemi omówieniami. Zresztą Rosya wiele postąpiła w ostatnich latach w tym kierunku. Będę kontynuował starania w tym celu, ażeby w naszem rozległem Cesarstwie praktykowały się w pokoju różnorodne wyznania.

— Czy prawda, że skłonny pan jest do udzielenia większych wolności Żydom?

— Nie jestem wrogiem Żydów, ale gdyby im pozostawiono wolność zupełną, której zażywają prawosławni, mogliby szybko zdobyć zbyt wielkie znaczenie. W każdym razie w środkach, dotyczących Żydów, postanowiłem utrzymać możliwie najzupełniejszą życzliwość i polepszyć położenie ich sfer najuboższych. Dobrocią osiągnąć można rezultaty pomyślne.

— Czy zmieni pan, panie generale, położenie Finlandczyków?

— Przepraszam, Finlandya mnie nie dotyczy. Ze wszystkich ministrów spraw wewnętrznych jedynie tylko W. K. Plewe prowadził też sprawy finlandzkie, a nadto ewangelicy w Finlandyi mają obecnie u siebie generał-adjutanta ks. Obolefiskiego, generał gubernatora, którego pierwsze kroki przy spotkaniu z powierzoną mu ludnością były szczególnie zręczne i których usiłowania chwalebne, jesteśmy o tem przekonani, doprowadzą do najlepszych wyników dla dobra i szczęścia Finlandyi.

— Wogóle, panie ministrze, jesteś zwolennikiem postępu?

— Jakże pan chce, żebym nie był stronnikiem postępu, którego wszystkie korzyści powinna posiąść Rosya? Na wielu drogach wypadnie nam zdobywać postęp. Jestem zwolennikiem możliwie najszerszego powiększenia ilości szkół wiejskich. Mój kolega i przyjaciel jest w tym kierunku tego samego zdania, co ja. Postępu unikać nie możemy. Gdybyśmy walczyli przeciwko niemu, to w każdym razie postęp otoczy nas i wtargnie do nas. Czyż nie lepiej w takim razie przyjąć go i dopomódz mu do urzeczywistnienia się?

— Jeszcze ostatnie zapytanie, generale. Obecny, niestety, niepomyślny stan wojenny wywołuje, jak mówią, niezadowolenie wewnątrz państwa. Wojna z Japonią nie jest popularna.

— Być może, iż wojna jest niepopularną. Myśmy jej nie pragnęli i nie przewidzieli; nie byliśmy do niej przygotowani. Ale opinia publiczna byłaby jeszcze więcej niezadowolona, gdybyśmy nie chcieli wypić do dna, bez wahania, tego kielicha goryczy. Przebywamy ciężki okres wojny, toczącej się o 10,000 wiorst od metropolii. Nie myśleliśmy wcale, że będziemy mieli sprawę z Japonią, jako z narodem, z Japończykami, których przymioty wojenne okazały się niespodzianką dla całego świata, a dla nas w szczególności.

— Miło mi słyszeć, że oddajesz pan należne uznanie swoim nieprzyjaciołom.

— Nie szczędzimy, w stosunku do nich, zachwytów, lecz z czasem osiągniemy swoje.

Wszystko to było powiedziane spokojnie, bez cienia zarozumiałości i całkiem prostym tonem.“

— Od pani H. K., która przez dłuższy czas podróżowała po Ameryce — pisze *Tygodnik ilustrowany* — otrzymujemy kilka szczegółów o kolonii polskiej w Grand-Rapids, mieście, znajdującem się w stanie Michigan. Grand-Rapids liczy około 120,000 mieszkańców, jest miastem czystem, doskonale utrzymanem, położonem w malowniczej miejscowości. Otaczają je wille, tonące w pięknych ogrodach i parkach. W osobnej dzielnicy, zwanej „polską,“ mieszka tam około 10,000 Polaków, przeważnie robotników fabrycznych. Prawie każdy z nich ma swój domek czysto utrzymany, zbudowany najczęściej z drzewa, jednopiętrowy, pomalowany przeważnie na kolor biały, z zielonemi ramami okien, otoczony ogrodem. Parter, ozdobiony werandą, stanowi zwykle mieszkanie gospodarza; pierwsze piętro odnajmuje się lokatorom. Wychodźcy nasi odznaczają się tam solidarnością i wychowują dzieci racyonalnie, nie dając im się wynaradawiać. Kolonia ma swoją dość zamożną bibliotekę, utworzoną ze składek. Liczne stowarzyszenia rozwijają ożywioną działalność, której celem jest między innemi ćwiczenie sił fizycznych. Bywają przedstawienia amatorskie, z których dochód przeznacza się najczęściej na zakup książek. W okolicach Grand-Rapids, o jakie 4 mile ang. od miasta, mieszka około 40 fermerów polskich. Fermy ich są odległe od siebie o wiorstę lub dwie. Razem nie budują się nigdy. Każdy dom posiada wodociągi, a każda ferma — rury gumowe, któremi, w razie suszy, zasila wodą ogrody i trawniki. Osadnicy nasi założyli wspólną mleczarnię akcyjną, urządzoną na dużą skalę. Mleko i masło wysyłają codziennie koleją do Grand-Rapids. Bogatsi wysyłają corocznie dzieci swoje do szkół w październiku — na całą zimę. W lecie młodzież ta pracuje w polu. Fermerzy nasi, tak samo jak kolonia polska w mieście, mają swoją bibliotekę, a chociaż nie każdemu osadnikowi dobrze się wiedzie, każdy prenumeruje jakieś pismo i znajduje czas na czytanie książek polskich. Wogóle kolonia polska około Grand-Rapids wyprzedziła pod względem kultury wiele innych osad Stanów Zjednoczonych.

— „Przed chwilą — pisze Was. Niemirowicz-Danczenko — powróciłem z pozycyi zmęczony, znużony. I ze wstydem... Na prawo i na lewo idą ludzie, którzy większe, niż ja, mają prawo do odpoczynku. Ci ludzie od dziewięciu dni nie zaznali prawdziwego spokoju. A tu w grę wchodzi nietylko samo zmęczenie. Znużeni, zaledwie trzymając się na nogach, zatrzymują się i chciwie patrzą na nas. W wagonie, grającym rolę jadalni, mamy zupę żołnierską.

— Czego chcesz, bracie?

— Żeby tak chleba...

Podaję mu pieniądze — odmawia.

— Dziękuję najpokorniej. Żeby tak chleba... Drugą dobę nie jemy.

Rozdaliśmy wszystko, cośmy mieli, żołnierze nasi również. W godzinę w całym pociągu nie było ani okruszyny chleba, a ludzie wciąż szli i szli, i prosili tylko o chleb, z dalekich pozycyj, dokąd żadna intendentura nie mogła dostarczyć żywności. A nikt, *nikt* nie bierze pieniędzy. Słychać tylko żałosne, błagalne: „Żeby tak chleba.“

Nazajutrz podjeżdża żołnierz ordynansowy.

— Wasza wielmożność! Pozwólcie chleba!

— Masz, bracie!

— Żeby tak więcej!—jąka nieśmiało.

— Dosyć!

— Dla mnie dosyć... Ale oto dla kapitana—tu wskazuje oficera konnego, który się od nas odwraca.

— Niech sam przyjedzie.

— *Oni* nie przyjadą.

— Dlaczego?

— Wstydzą się.

Dostaje dla oficera chleba i mięsa gotowanego. Oficer kłania się zdaleka, widzimy, jak radość rozjaśnia nagle twarz jego.

Po chwili przyjeżdża, z miejscowości odległej o kilka wiorst, od gen. Miszczenki, oficer jego, S.

— Na miłość boską, generał nie ma co jeść. Dajcie panowie cokolwiek.

Dzielimy się, czem możemy. Pół butelki wódki, chleb, mięso, konserwy jakieś.

Oficer zachwycony, ręce mu drżą, twarz oblewa rumieniec radości.

— Bóg zapłać. To radość! Będzie prawdziwe święto. Od miesiąca już nie widzieliśmy nic podobnego.

I o mało nie tańczy na siodle. Nie odpoczywa, pędzi z powrotem ze swym cennym ciężarem...

Jakiś zapóźniony oficer lokuje się u nas.

Zapraszamy go na obiad, jaki jest. Dziękuje.

— Zapomniałem już, jak się je — mówi cichutko.

— Czemże żyjecie?

Herbatą...

Chory, drży cały... Rzuca się na herbatę. A twarz ma młodą, ładną, zęby wspaniałe, że, jakby się zdawało, kość przegryzie.

Inny oficer rzuca się na zupę żołnierską z taką żarłocznością, że o mało łzy mi z oczu nie wytrysnęły.

— Dawno nie widzieliśmy takiego zbytku!

Czy widzieliście, jak ludzie piją wodę z brudnych, śmierdzących kałuż z kijankami i innymi gadami? Przyjedźcie tu, zobaczycie! Jak z czerstwego chleba zeskrobują pleśń i to tak, aby ani jednego kawałeczka nie ruszyć i jedzą ze smakiem; jak pożerają mięso, pociągnięte szarą jakąś warstwą i jeszcze Bogu dziękują. Są konserwy: puszki napęczniały, zrobiły się wypukłe. Gdy się taką puszkę przedziurawi — wychodzi gaz smrodliwy. Gdy gaz wyjdzie, konserwy jedzą i jeszcze chwalą.

Intendentura w obecnej wojnie działa znakomicie, ale tam, gdzie ona nie może dostarczyć swych zapasów, lub gdzie się trafi niezbyt bystry oficer z zapasu, wymagający niewykonalnych formalności — tam jest źle.“

— Ks. Meszczerski w *Grażdaninie* przemawia za zawarciem pokoju z Japonią. „Są sposoby zawarcia pokoju, zupełnie nieobrażające honoru takiego państwa, jak Rosya.“ Polegają na tem, aby zrobić z Japonii sprzymierzeńca, a nie wroga. Zgnębienie Japonii wymagałoby zbudowania floty trzy razy silniejszej od japońskiej i wysłania przynajmniej 20 korpusów; a walczyć wypadałoby 10 lat. Ale i tego mało.

„Pod wpływem pragnienia zemsty Japonia potrafi przygotować się do nowej wojny z jeszcze większą szybkością i energią, niż do obecnej, a tym sposobem będziemy zmuszeni nietylko utrzymywać zawsze w gotowości armię 800-tysięczną na Dalekim Wschodzie, ale jeszcze przenieść tam środek ciężkości naszej potęgi militarnej i osłabić wszystkie nasze siły obronne na wszystkich punktach Rosyi europejskiej, albo też podwójny budżet wojskowy uczynić normalnym, niezależnie od perspektywy wydawania co trzy lub cztery lata miliarda na wojnę najpierw z Japonią, a potem z Japonią i Chinami. W takich warunkach jakie siły ekonomiczne zachowa Rosya europejska?“

Zdaniem ks. Meszczerskiego, stan społeczeństwa rosyjskiego nie pozwala na nieustanne prowadzenie wojny.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Zarząd warszawskiego, wojskowego okręgu lekarskiego powołał znów do służby w armii czynnej 52 lekarzy, należących do rezerwy. Także wszyscy oficerowie rezerwy, zajmujący różne stanowiska na kolejach Nadwiślańskich, z polecenia ministeryum komunikacyj mają być uwolnieni na czas pełnienia służby wojskowej, z zastrzeżeniem, aby po ukończeniu wojny otrzymali posady nie niższe od dotychczas zajmowanych.

— W Łodzi zorganizowano komitet w celu dostarczenia pracy robotnikom pozbawionym środków do życia.

— Do Rady państwa wniesiono projekt, ażeby każdy obwiniony posiadał obrońcę od chwili rozpoczęcia śledztwa.

— Komisyom gubernialnym w Cesarstwie nadane prawo kasowania, bez odwoływania się do władz wyższych, rozporządzeń naczelników ziemskich, jawnie gwałcących prawo lub sprawiedliwość.

— *Kijewlanin* donosi, że d. 4 b. m. w Śmile wynikły zaburzenia antiżydowskie, do których dała powód sprzeczka między właścicielem sklepu a włościanką posądzoną o kradzież chustki. W obronie włościanki wystąpili robotnicy, a następnie zebrał się tłum różnego rodzaju ludzi, przybyłych do miasteczka, wyruszył w stronę dzielnicy żydowskiej, zrabował około 100 domów i 150 sklepów i zniszczył 2 synagogi, 2 szkoły i bibliotekę publiczną, zawierającą kilka tysięcy tomów, z której utworzył się stos oddzielnych kartek i arkuszy. Pomoc policyi i wojska położyła tamę dalszej walce, w której nie obeszło się bez zabitych i rannych. 250 rodzin pozbawionych zostało całego [illegible].

— Księgarzom polskim w Berlinie zabroniono sprzedawać śpiewniki Chociszewskiego; pozwolono tylko te, które będą miały cenzurę rosyjską.

— *Dzien. Pozn.* donosi, że place, powstałe po zburzeniu wałów obronnych w Poznaniu, nabywać mogą tylko Niemcy, i to z zastrzeżeniem, aby nigdy nie oddali ich w ręce polskie.

Szkoły i wychowanie. W odpowiedzi na pytanie, czy majstrów i techników, wykładających w szkołach rzemieślniczych, należy uważać za będących na służbie rządowej, czy za osoby prywatne, ministeryum oświaty w okólniku do kuratorów okręgów, naukowych wyjaśniło, że chociaż w etatach, zatwierdzonych w r. 1902 dla szkół rzemieślniczych, nie określono wyraźnie państwowego charakteru służby tych nauczycieli, to jednakże jest ona taką w istocie, choćby z tego tytułu, że nauczyciele ci opłacają składki emerytalne i korzystają narówni z innymi z praw do emerytury państwowej.

— Do politechniki warszawskiej przyjęto 208 studentów z pośród 596 kandydatów.

— Dnia 12 b. m. odbył się akt zamknięcia roku akademickiego w uniwersytecie warszawskim, z którego okazuje się, że w r. 1904 było 44 profesorów zwyczajnych, 13 nadzwyczajnych i 7 pełniących obowiązki docentów, 1 tymczasowego nauczyciela, 4 lektorów i 2 prosektorów, ogółem 71. (Ustawa uniwersytetu przewiduje na wszystkich wydziałach 47 katedr, z których w r. z. wakowało 5). Średnia liczba wykładów wynosiła: na wydziale historyczno-filologicznym 83, na wydziale matematycznym 47, na przyrodniczym 44, na prawnym 82 i na lekarskim 135 tygodniowo. Rada uniwersytetu wydała w r. z. dyplomów, po obronie rozpraw: dwa doktora medycyny, jeden magistra zoologii i jeden magistra literatury rosyjskiej; 121 słuchaczów ukończyło uniwersytet ze stopniem rzeczywistego studenta, 39 ze stopniem kandydata, 49 z wydziału lekarskiego w stopniu lekarza, 1 lekarza powiatowego, prócz tego 44 jako prowizorzy, 37 lekarzy-dentystów, 62 dentystów, oraz wydano 35 świadectw akuszeryjnych. Z 440,311 rb. 46 kop., przeznaczonych na utrzymanie uniwersytetu, wydatkowano 423,007 rb. 63 kop., pozostało 26,303 rb. 83 kop. na r. b. W zawiadowaniu uniwersytetu jest 35 instytucyj pomocy naukowej, oraz instytut położniczy i szkoła felczerów.

— W roku przyszłym, we wrześniu, odbędzie się w Liege międzynarodowy kongres studencki.

Zdrowie publiczne. Epidemia cholery szerzy się w okręgu Zakaspijskim; w Baku zmarło kilka osób.

Ze sztuki. W Tow. Zachęty otworzono wystawę akwafort, litografij i drzeworytów artystów angielskich, francuskich i niemieckich, na którą zgromadzono około 600 utworów.

Sprawy ekonomiczne. Generał-gubernatorom nadano prawo udzielania pozwoleń na zwoływanie zjazdów rolniczych, które mają być urządzone kosztem osób interesowanych; w razie, gdyby się okazała potrzeba pomocy materyalnej od rządu, decyzya przechodzi w ręce ministeryum rolnictwa. W podaniach o udzielenie pozwolenia wyszczególnić należy: jaka instytucya zwołuje zjazd i w jakiej porze; jakie osoby, prócz rolników, członków miejscowych towarzystw rolniczych i przedstawicieli miejscowych instytucyj rolniczych, mają wziąć udział w pracach zjazdów; kto będzie przewodniczył, jakie osoby mają być obrane na wiceprezesa, sekretarza itd.; kiedy i gdzie powinny być nadsyłane do uprzedniego rozważenia referaty i wnioski; czy zamierzone jest pobieranie opłaty członkowskiej od uczestników zjazdu, w jakiej wysokości i wreszcie, czy będą dopuszczane i z czyjego zezwolenia osoby postronne.

— Wydano przepisy, mocą których robotnicy za palenie tytoniu w fabrykach, wytwarzających materyały łatwopalne, wydaleni będą natychmiast, bez wymó[illegible].

— Według sprawozdania Towarzystwa kolonizacyjnego „Ica,“ w Królestwie Polskiem utrzymuje się z rolnictwa 2509 rodzin żydowskich. W tej liczbie mieści się 14,7% dzierżawców rolnych, reszta sama nabyła ziemię lub otrzymała ją w darowiźnie od rządu. Po za tem pracuje na roli 1,345 rodzin, czyli 8,927 osób, dzięki osobnym przywilejom, które trwały od r. 1841 do r. 1861. Co do ilości ziemi, zebrano dokładne dane tylko o 2,144 rodzinach, które mają około 27,000 morgów, przyczem u dzierżawców wypada 12 morgów na rodzinę, u właścicieli zaś po 11 morgów. Stosunkowo najwięcej rodzin rolników-Żydów przypada na gub. Piotrkowską (496) i Warszawską (81).

— „Liga pomocy przemysłowej“ w Galicyi urządziła wystawę ruchomą, która okrążyć ma w ciągu roku 60 miejscowości. Pierwszą taką wystawę otworzono w tygodniu ubiegłym we Lwowie.

— Ministeryum spraw wewnętrznych rozpatruje sprawę obniżenia stempla aktowego oraz uproszczenia formalności przy zmianie właściciela drobnej własności ziemskiej.

— *Gaz. Pols.* donosi, że założone w Warszawie „artele“ żydowskie szewców i producentów bombonierek nie powiodły się; związek szewcki już został rozwiązany, drugi traci członków, których ma teraz już tylko 8, a i dla tych nie może znaleźć roboty. Kupcy nie chcieli dawać kredytu tym związkom, klientela zaś unikała ich.

— W r. 1902 w gub. Mińskiej włościanie nabyli 21,537 dzies. ziemi od właścicieli pochodzenia polskiego. W 1903 r. 15,156 ziemian prawosławnych posiadało ogółem 2,200,000 dzies., 336 staroobrzędców — 68,000 dzies., 100 ewangelików — 350,000 dzies., 87 Mahometan — 7,000 dz., 5,386 Polaków — 2,000,000 dzies., wreszcie 153 Żydów — 2,466 dzies.

Zmarli. Wacław Taczanowski, filolog, współpracownik i redaktor „Słownika języka polskiego“ oraz „Słownika gwar polskich,“ zmarł w Charbinie wskutek rany odniesionej w bitwie pod Laojanem.

SPROSTOWANIE. W artykule „Bezstronny pogląd na alkoholizm umiarkowany“ na str. 439, szp. 1, wiersz 21 od dołu zamiast słów: „Pół kieliszka wina zazwyczaj nie wywiera wpływu podniecającego“, należy czytać: *Pół kieliszka wina może działać na kogoś w pewnym razie nieszkodliwie podniecająco.* Na str. 450, szp. 1, wiersz 55 od góry zamiast słów: „nie przynoszą wielkiej korzyści,“ należy czytać: *nie przynoszą tej szkody, jaką wywierają narkotyki, ale dają za to o wiele większą korzyść.*

— Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym dokończenie dzieła J. Simmla p. t. **Filozofia pieniądza** w przekładzie Leo Belmonta.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 9 Сентября 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.